



96241

II

P



TRACNOWSKI

LOT 1926

POD REDAKCJĄ

STANISŁAWA DZIKOWSKIEGO



Biblioteka Jagiellońska



1002661121

W A R S Z A W A
NAKŁADEM LIGI OBRONY POWIETRZNEJ PAŃSTWA

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



96241 II

1926.

OKŁADKA WEDŁUG RYSUNKU
TADEUSZA GRONOWSKIEGO
ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI
ROLNICZEJ, WARSZAWA, ŻŁOTA 24

LE HOMME VOLANT
LE BENIER AUBER



„Człowiek latający“, model Besniera z r. 1678. Rzeźba w drzewie.

LOT POLSKI

CZASOPISMO LIGI OBRONY
POWIETRZNEJ PAŃSTWA

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY SPRAWOM
ŻEGLUGI POWIETRZNEJ

ORGANE OFFICIEL DE LA LIGUE
AÉRONAUTIQUE DE POLOGNE

ZAŁOŻYCIEL PISMA I NACZELNY REDAKTOR:
JANUARY GRZĘDZIŃSKI

KOMITET REDAKCYJNY STANOWIĄ:

PP. PŁK. SZT. GEN. S. ABŻÓŁTOWSKI (DZIAŁ WOJ-
SKOWY), ST. BYLCZYŃSKI, ZDZISŁAW DĘBICKI, INŻ.
KLEMENS FILIPOWSKI, T. GARCZYŃSKI, SENATOR
W. JANUSZEWSKI, INŻ. G. MOKRZYCKI, PPŁK. INŻ.
ZDZ. PŁODOWSKI (TECHNIKA), INŻ. W. RUMBOWICZ,
MJR. SZT. GEN. ADAM STEBŁOWSKI, INŻ. WŁ.
SRZEDNICKI, PROF. CZ. WITOSZYŃSKI.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

w kraju rocznie **10 zł** — półrocznie **5 zł** — kwartalnie **2 zł 50 gr**
zagranicą rocznie **12 fr. zł.** — półrocznie **6 fr. zł.** — kwartalnie **3 fr. zł.**

KONTO CZEKOWE P. K. O. 7860

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

WARSZAWA — ZAMEK

Lokal Zarządu Głównego Ligi Obrony Powietrznej Państwa, tel. 311-48, 104-26



STYCZEN

Św. rzymsko-katol.

1	P	Nowy Rok 1926.
2	S	<i>Jm. Jezus, Makar.</i>
3	N	Daniela m., Gem.
4	P	Tytusa b., Ryg.
5	W	Telesfora, Symeon.
6	Ś	Ob. Pań. 3 Króli.
7	C	Lucjana, Juljana
8	P	† Seweryna, op.
9	S	Marcjanny p. m.
10	N	Agatona, Wilhelm.
11	P	Honoraty p.
12	W	Arkadiusza, Mod.
13	Ś	Weroniki p., Glaf.
14	C	Hilarego b. w. d. k
15	P	† Pawła pustelnika
16	S	Marcelego p. m.
17	N	Antoniego op.
18	P	Kat. św. Piotra
19	W	Henryka b. w.
20	S	Fabjana, Sebast.
21	C	Agnieszki p. m.
22	P	† Wincent., Anast.
23	S	Ildelfonsa
24	N	Tymoteusza
25	P	Nawr. św. Pawła
26	W	Polikarpa b. m.
27	Ś	Jana Złotoustego
28	C	Obj. św. Agnieszki
29	P	† Franciszka Salez
30	S	Martyny P. M.
31	N	Piotra Nolasco

Św. gr.-kat.

Hrud. Bonif.
Ilnatija
<i>N. p. Rizdo.;</i>
Anastaz.
10 mucz.
Ewhenji
<i>Rizduo Chr.</i>
<i>Sob. Pr. B.</i>
<i>Stef. m.</i>
<i>N. p. R. Mucz.</i>
14 tys. ub. dit.
Anyjsii
N. po R. Mel.
<i>Nowy Rok</i>
Sylwestra
Melachji p.
<i>N. p. Boh.</i>
† Nawecz B.
<i>Boh. Hosp.</i>
Sob. św. lw.
Georg Emilj.
Polyjewkta
Hryh. i Dom
<i>N. po Boh.</i>
Tatjany, m.
M. Jermyla
P. Otc. w Sin.
Pawla, lw.
Pokl. ok. ś. P.
Anton. W.
<i>N. 29 po S.</i>

Święta wzn. moż. Dnia 16 Rozchodesz czyli 1-szy dzień m-ca Szwat.



BUTY

Św. rzymsko-Katol.

Św. gr.-Kat.

1	P	Ignacego, Bryg.	Makar., pr.
2	W	Oczyszcz. N. M. P.	† Jewt. Weł.
3	S	Błażeja b. m.	Maks isp.
4	S	Ansgar. i Andrzeja	Tym. Atan
5	P	† Agaty p. m.	Klymenta
6	S	Doroty p. m.	Kseniji
7	N	<i>Staro.</i> Romualda	<i>N. 30 po S.</i>
8	P	Jana z Matty	Ksenof. i dr.
9	W	Apolonji	Per. m. Iwan.
10	S	Scholastyki, Sylw.	Jefrema
11	S	Ob. N.M.P., Satur.	Ihnat. Rom.
12	P	† Eulalji p.	<i>Tr. św. Ipot.</i>
13	S	Jana i Dobrosi.	Kyra
14	N	Mięs. Walentego k.	<i>N. 31 po S.</i>
15	P	Faust. i Jow.	Strytena H.
16	W	Juljanny p. m.	Symeona
17	S	† Pop. (Patrycjusza	Izydora
18	S	Symeona. Maks.	Ahafiji
19	P	† Konrada, Mans.	Wukoła, Julji
20	S	Leona, Eucher.	Partenija
21	N	Zap. Maksym. Fel.	<i>N. o. M. i F.</i>
22	P	Kat. św. Piotra	Nykyf. m.
23	W	Piotra, Damiana	Charf. Porf.
24	S	Macieja apost.	Włas. i Ws.
25	S	Zygr. Cez.	Melet, Mar.
26	P	† Aleksan. i Nest.	Martynjana
27	S	Leandra	Auksentija
28	N	Wst. Romana	<i>N. obl. syn</i>

† oznacza wigilie i posty.

więta wyzn. moż. Dn. 14 i 15 Rozchodesz czyli
1-sze dni m-ca Adar I, 25-30 Post Estery, dn.
28 Parym (ostatki).



SKŁAD WĘGLA



MARZEC



Św. rzymsko-katol.

Św.gr.Kat.

1	P	Albina b. w.	Pamfyla
2	W	Heleny ces.	Teodora
3	S	Kunegundy ces.	Lwa pap.
4	P	Kazimierza król.	Archip. T.
5	C	† Adryana'	Lwa ep. Ag
6	S	† Wiktora i Wikt.	Tymoteja
7	N	Such. 3 Tomasza	Mjospust.
8	P	Wincent. Kadł.	Polykarpa
9	W	Franciszki rz.	Obrtit. bł. lw.
10	S	40 męcz., Wiktora	Tarasija ep.
11	C	Konstantego w.	Porfirja
12	P	† Grzegorza	Prókopa
13	S	† Krystyny, Nicef.	Wasylja
14	N	Gł. Matyldy k.	Syropostna
15	P	Klemensa	Teod. s. m.
16	W	Abrahama	Zenona
17	S	Józefa z Arymatei	Harasyma
18	C	Gabryela Archan.	Konona
19	P	Józefa Obl. N. M. P.	42 m. w. A.
20	S	† Wolframa b.	Jefr., Paw.
21	N	Srod. Benedykta op.	1. N. post.,
22	P	Katarzyny	† 40 Mucz.
23	W	Katarz. kr. szw.	Kond. i K.
24	S	Marka i Tymot.	Sofronija p.
25	C	Zwiast. N. M. P. 1	Teof., Jos.
26	P	† Ludgera i Tekli	Nykyf. Ch.
27	S	† Jana Damazego	Benedykta
28	N	Biała Jana Kapistr.	2 N. post.
29	P	Eustazego op. 1	Sawyna m.
30	W	Anieli wd.	Aleksija
31	S	Balbiny i Korn. p.	Kyryła jer.

Święta wyzn. moż. Dnia 16 Rozchodesz czyli 1-szy dz. m-ca Nisan. Dn 30 i 31 l-sze dni święta Pesaha (Wielkanoc).



KWIECIEŃ

Św. rzymsko-katol.

Św. gr.-kat.

1	C	† Wiel. Teodory m.	Chryz. i Darji
2	P	† Wiel. Franciszka	Iwana m.
3	S	† Wiel. Ryszarda	Jakowa
4	N	Zmart. Chr. Pana	3 N. post.
5	P	Wielkanoc	Nikon., Lid.
6	W	Wilhelma o.	Zachar.
7	S	Epifanusza b. m.	Błah. Pr. B.
8	C	Dyonizego b. w.	S. A. Hawr.
9	P	† Marij K.	Matrony P.
10	S	Ezechjela	Rariona
11	N	Przew. Leona W.	4 N. post.
12	P	Wiktora M.	Iwana list.
13	W	Hermenegilda	Ipatija, ep.
14	S	Walerjana i Justyn.	Marij ehyp.
15	C	Anastazego m.	Tyta
16	P	† Marceljana i Lam.	Nyk. Teod.
17	S	Aniceta B. M.	Prep. Jos.
18	N	Bogumila	5 N. Post)
19	P	Tymona M.	Eutychia
20	W	Sulpicjusza	Hrychorja
21	S	Anzelma B.W.D.K	Keł. Irydj.
22	C	Sotera i Kaja	Eupychija
23	P	† Wojciecha b. m.	Terentija
24	S	Fidelisa kap.	Str. cz. A.
25	N	Marka ewang.	N. Kwiłna
26	P	Kleta i Marcelina	W. Sob. Art.
27	W	Teofila i Tertuljana	W. d. Mart.
28	S	Pawła od Krzyża	Sw. p. Trof.
29	C	Piotra m. i Rober.	Sw. wt. Iryny
30	P	† Katarzyny Sen	Wel. Pratok

Święta wuzn. moż. Od 1—4 wolne św. Wielkan.
Dnia 5-6 ostatnie św. Wielkan. Dnia 14 i 15
Rozchodysz czyli 1-sze dni m-ca, ljar.



n. ŚWIDWIŃSKI.

M A J

Św. rzymsko-Katol.

Św. gr.-Kat.

1	S	<i>Filipa i Jakóba ap.</i>	Iwana D.
2	N	Zygmunta kr.	<i>Wielkdeń</i>
3	P	Konstyt. 3 maja	<i>Sw. poned.</i>
4	W	<i>Gr. Chr. Florjana</i>	<i>Sw. utorok</i>
5	S	<i>Piusa V., Anioła</i>	<i>Teod. ep.</i>
6	C	<i>Jana Ap. Ewang.</i>	<i>Jurja, w. m.</i>
7	P	† Domiceli i Eufr.	<i>Sawy</i>
8	S	Stanisława b. m.	<i>Marka ew.</i>
9	N	Matki Bosk. Łask.	<i>2 Tom. Ned.</i>
10	P	<i>Krz. dz.</i>	<i>Symeona</i>
11	W	<i>Krz. dz. Izydora or.</i>	<i>Maks. Jaz.</i>
12	S	<i>Krz. dz. Pankracego</i>	<i>Melit. 9 m.</i>
13	C	Wnieb. Pańskie	† Jakow. a
14	P	† Bonifacego	Jeremiji pr.
15	S	Zofji wd., Jana	† Bor. i Hi.
16	N	Jana Nepom.	<i>N. 3 Myron.</i>
17	P	Paschalisa w.	<i>Pelagji</i>
18	W	Feliksa	<i>Ireny</i>
19	S	Piotra Gel.	<i>Iowa pr.</i>
20	C	Bernard	<i>Sawy m.</i>
21	P	† Wiktora "M.	<i>Iwan. b.</i>
22	S	† Julii, Heleny	<i>Isalji pror.</i>
23	N	Zesł. Ducha Sw.	<i>N. 4 e rozst.</i>
24	P	Świąt. Joanny	<i>Mokija</i>
25	W	<i>Grzegorza VII</i>	<i>Epifanija</i>
26	S	<i>Filipa</i>	<i>Glikerji</i>
27	C	<i>Bedy W. D. K.</i>	<i>Izyd., Mak.</i>
28	P	† Augustyn.	<i>Pachomija</i>
29	S	Teodozji P. M.	<i>M. Teod.</i>
30	N	Trójcy świętej	<i>N. 5 o sam.</i>
31	P	Anieli P.	<i>Teodata</i>

Święta wuzn. moźj. Dnia 14 Rozch. czyli 1-szy dzień m-ca Sywan. Dnia 19 i 20 Szowuos (Ziel. św.).



CZERWIEC

Św. rzymsko-Katol.

Św. gr.-Kat.

1 W Jakóba
2 S Marcelina i Bland.
3 C **Boże Ciało**
4 P † Franciszka Car.
5 S Bonifacego Waler.

Patrycja
Taleaja m.
† Konst. i J.
Wasylska
Wo H. Mich.

6 N Norberta, Klaud.
7 W Roberta Op.
8 P Maksyma B. W.
9 S Pryma i Felicjana
10 C Małgorzaty kr.
11 P † Serca Jezus.
12 S Jana w., Onufrego

6 oślipor
O. h. s. lw.
Karpa
Teraponta
Woznesenje
Teodoz. m.
Izaakija

13 N Antoniego Padew.
14 P Bazylego W.
15 S Wita i Modesta
16 S Benona i Julity
17 C P. Inocentego m.
18 P † Marka i Marcel.
19 S Gerwazego Pr.

7 Św. Otc.
Justyna
Nikifyora
P. Tr., Łuk.
Mitr., Sofiji
Dor., Mark.
Ilar., Wysar.

20 N Sylwerjusza
21 P Alojzego Gonzagi
22 W Pauliną b. w.
23 S Agrypiny, Zenona
24 C *Nar. Św. Jana Chrz.*
25 P † Prospera, Adalb.
26 S Jana i Pawła

Sosz. św. D.
Prsw. Trojcy
Kyr. T. m.
Tym. Ant.
Wartołom.
On. W. P.
Akył. m

27 N Władysława
28 P Leona
29 W **Św. Piotra i Pawła**
30 S Wsp. św. Pawła Ap.

1 po *Sosz.*
Jeron. Am.
Tych ep.
Manujila

Święta wyzn. moż. Dnia 12 i 13 Rozchodesz czyli
1-e dni m-ca Tamuz.



LIPIEC



Św. rzymsko-Katol.

1	C	<i>N. Kr. J. Chr. Teod.</i>
2	P	<i>† N.N.M.P. Mart</i>
3	S	<i>Anatol. i Heliod.</i>
4	N	<i>Józefa Kalasantego</i>
5	P	<i>Antonieoś Zak.</i>
6	W	<i>Izajasz, Dominiki</i>
7	S	<i>Cyryla i Metodego</i>
8	C	<i>Elżbiety kr. wd.</i>
9	P	<i>† Weroniki, Zen.</i>
10	S	<i>† br. męczennik.</i>
11	N	<i>Pelagji p. m.</i>
12	P	<i>Jana Gwalberta</i>
13	W	<i>Małgorzaty m. p.</i>
14	S	<i>Bonawentury b.</i>
15	C	<i>Roz. ap., Henryka</i>
16	P	<i>† N. M. P. Szkapł.</i>
17	S	<i>Aleksego, West.</i>
18	N	<i>Bł. Szymona z L.</i>
19	P	<i>Wincent. à Paulo</i>
20	W	<i>Czesława, Emiljan.</i>
21	S	<i>Fraksedy, Wiktora</i>
22	C	<i>Marii Magdaleny</i>
23	P	<i>† Apolinarego</i>
24	S	<i>Bł. Kunegundy kr.</i>
25	N	<i>Jakóba ap.</i>
26	P	<i>Anny Matki N.M.P.</i>
27	W	<i>Natalji, Fantaleona</i>
28	S	<i>Innocent. i Wiktora</i>
29	C	<i>Marty, Olawa</i>
30	P	<i>† Julity i Donatylli</i>
31	S	<i>Ignacego Loyoli</i>

Św. gr.-Kat.

† Boż. Tiło
Judy Tad.
Metodija
2 po Sosz.
Ewz. Jul. m.
Agrypiny
Riz. lw. Ch.
Fewron m.
Torz. Ser. Is.
Samsona
3 po Sosz.
Ap. Pel. i P.
Sob. 12 ap.
Kosm. i Dam.
† P. R. P. B.
Anat. Jak.
Andr. kryt.
4 po Sosz.
Atanazja
Tomy prep.
Prkop. m.
Pankr. T.
† Ant. pecz.
Ohly kn. r.
5 po Sosz.
Hawr. Ar.
Aklyy ap.
† Woł. Weł.
Ant. św. m.
Maryny m.
Jak., Emil.

Święta wyzn. moj. Dnia 12 Rozchodesz czyli 1-szy dzień m-ca Aw. Dnia 20 Tysze-beaw, post (zburzenie świątyni w Jerozolimie).



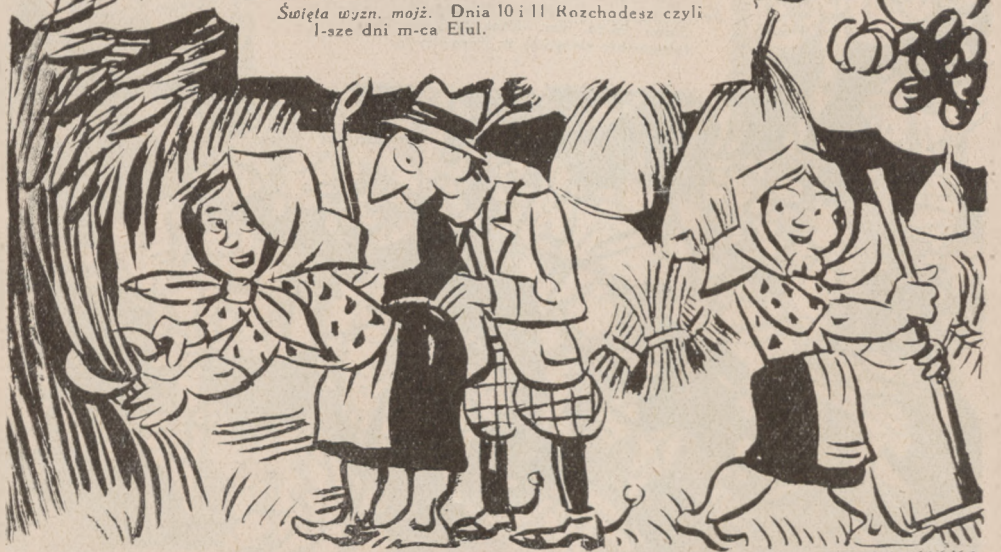
SIERPIEŃ

Św. rzymsko-katol.

Św. gr.-kat.

1	N	† Piotra ap. w okow.	6 po Sosz.
2	P	N. P. M. Anielskiej	Ilyji, pr.
3	W	Znal. rel. ś. Szczep.	Sym. pror.
4	Ś	Dominika, Arystar	Marij Msh.
5	C	N. M. P. Snieżnej	Geof. Tróf.
6	P	† Przem. Pań. Atry	† Bor. i Hil.
7	S	Kajetana, Donata	† Usp. ś. A.
8	N	Cyrjaka	7 po Sosz.
9	P	Romana, Rustyka	Pant. w. m.
10	W	Wawrzyńca, Bogd.	Prochoza
11	Ś	Zuzanny i Dygny	Kał. Seraf.
12	C	Klary p. i Hilanji	Syly. Andr.
13	P	† Hipolita i Kasjan.	Jewd. pr.
14	S	† Wig. Euzebjusza	Pr. Cz. Ch.
15	N	Wnieb. N. M. P.	8 po Sosz.
16	P	Ioachima O. N. M. P.	Issak. p. D.
17	W	Jacka wyzn., Pawła	Simoch, Otr.
18	Ś	Firmina, Agapita	Ews. Faw.
19	C	Mariana i Kufina	Preobr. H.
20	P	† Bernarda, Sam.	Dom., Paul.
21	S	Joanny Frem. w.	Emil. Leon.
22	N	Symfor. i Tymot.	9 po Sosz.
23	P	Filipa i Benicjusza	Ławrent m.
24	W	Bartłomieja ap.	Jewlra Kl.
25	Ś	Ludwika kr. w.	Fot. i An. m.
26	C	N. M. P. Jasnogórsk.	Maks., Ip.
27	P	† Cezarego	Mich. T. p.
28	S	Augustyna	Usp. Pr. B.
29	N	S. gł. ś. Jana Chrz.	10 po Sosz.
30	P	Róży Limańskiej	Myrona
31	W	Rajmunda w	Flora i Ław.

Święta wyzn. moż. Dnia 10 i 11 Rozchodesz czyli
1-sze dni m-ca Elul.



WRZESIEŃ

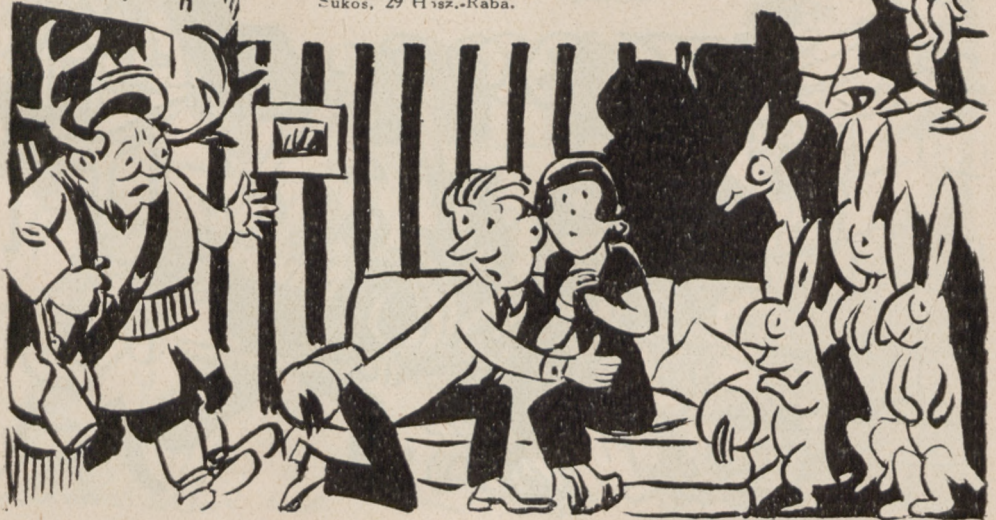
Św. rzymsko-Katol.

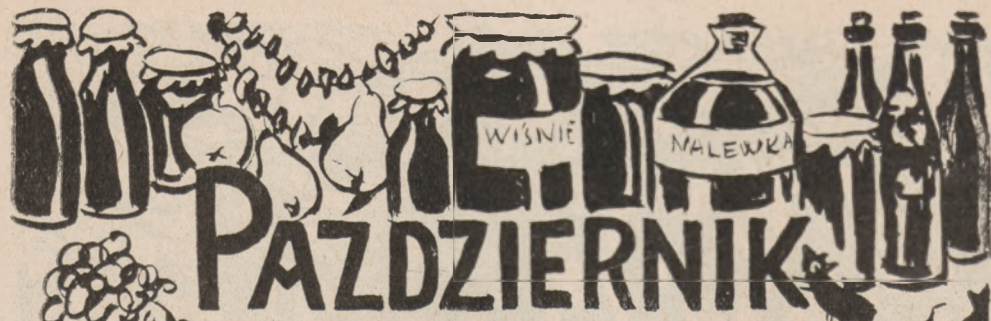
1	Ś	Idziego o., Broniś.
2	P	Stefana kr. w.
3	S	† Szymona Ślupn.
4		Rozalji p.
5	N	Wawrzyńca Just.
6	P	Zacharjasza pr.
7	W	Wig, Jana, Reginy
8	Ś	Narodz. N. M. P.
9	C	Sergjusza, Georg.
10	P	† Mikołaja z Tol.
11	S	Prota i Jacka
12	N.	Imienia N. M. P.
13	P.	Eugenji p.
14	W	Podu. Krzyża Sw.
15	Ś	† S. d. Nikodema
16	C	Euzebji
17	P	† S. d. Franciszko
18	S	† S. d. Józefa
19	N	Januarego
20	P	Eustachjusza W
21	W	Mateusza ap.
22	Ś	Tomasza b. w.
23	C	Tekli p. m. i Leona
24	P	† N. M. P. od w.
25	S	Rt. Ładysława z G.
26	N	Cyprjana i Just.
27	P	Koźmy i Damiana
28	W	Wacława kr. m.
29	Ś	Michała Arch.
30	C	Hieronima kap.

Św. gr.-Kat.

Andr. Tek.
Samuila p.
Tadeja ap.
Ahatonika
11 po Sosz.
Ewt. ś. m.
Tyta Wart
Andr. Nat.
Saw. Fim.
Awh. Mojs.
† Us. hl. ś. i w.
12 po Sosz.
P. p. Pr. B.
Sym. Słow.
Maman I.
Waw. Mojs.
Zach. pr.
Antym, T.
13 po Sosz.
Soz. Mak.
Roż P. D. M.
Jakuma i A.
Mynod. M.
Teodory
Awtonomia
14 po Sosz.
W. C. Z. Ch.
Nykyty
Ewf. Ludm.
S. W. N. L.

Święta wuzn. moźj. 9 i 10 Rosz-Haszana. (N. R. 5687) (2 p. Gedalii, 18 Jom-Kipur (S. dz.), 23 24 ur. ś. Sukos ś. szał), 25—28 wolne św. Sukos, 29 Hesz.-Raba.





Św. rzymsko-Katol.		Św. gr.-kat.
1 P	† Jana z Dukli, R.	Ewmenija
2 S	Aniołów Stróżów	Trofym. m.
3 N	Kandyda i Ewal.	15 po Sosz.
4 P	Franciszka Seraf.	Konr. ap.
5 W	Placyda m.	Fokcy, Jony
6 S	Brunona w.	Zacz. lw. Chr.
7 C	N. M. P. Różańcow.	Tekli perw.
8 P	† Pelagii i Bryity	Ewfr. 1'afn.
9 S	Dyonizego	Iwana Boh.
10 N	Franciszka	16 po Sosz.
11 P	Placydy i Zenajdy	Charyt. W.
12 W	Maksymil., Ludw.	Kyri., Teof.
13 S	Edwarda kr. w.	Hryhor. m.
14 C	Kalikesta, Ewarysta	† J'okr. Pr. B.
15 P	† Teresy p.	Kypr., Just.
16 S	Martyniana i Sat.	Djonyzija
17 N	Wiktor, Jadwigi	17 po Sosz.
18 P	Łukasza Ew., Justa	Charyt. m.
19 W	† Piotra z Alk.	Tomy ap.
20 S	Jana Kantego, Ireny	Serhja i W.
21 C	Urszuli, Hilarjona	Pelagiji
22 P	† Korduli i Alodji	Jakowa ap.
23 S	Sewer. i Romana	Ewłapija
24 N	Rafala Arch.	18 po Sosz.
25 P	Kryspina i Krysp	Tarasa
26 W	Ewarysta	Karpa m.
27 S	Sabiny, Frumenc.	Naz. Par.
28 C	Szymona i Tadeusza	Łuk Ewf.
29 P	† Narcyza, Euzebe	Longina s.
30 S	Germana i Serapij	Andreja
31 N	Symfronjusza.	19 po Sosz.

święta wyzn. moż. Dnia 1 Szymonas-Tora, dnia 8 i 9 Rozchodesz czyli 1-sze dni miesiąca Cheszwin.



LISTOPAD

Św. rzymsko-Katol.

w. gr.-Ka

1	P	Wszystkich Św.	Joila
2	W	<i>Dzień Zaduszny</i>	Artemija
3	Ś	Huberta B. W.	Ilarjona W.
4	C	Karola Boromeusz.	Awerk. Gł.
5	P	† Zachariasza, †E.	† Jak b. H
6	S	Leonarda, Feliksa	Arety Atan.
7	N	Nikandra, Karyny	<i>20 po Sosz.</i>
8	P	Gotfryda, i Maura	<i>Dym.; Wel.</i>
9	W	Toodora m.	Nestora
10	S	Andrzeja z Awel.	Parask. N.
11	C	Marcina b. w.	Anastazji
12	P	† Marcina	Zyn. i Z.
13	S	<i>Stanislawa Kostki</i>	Stach. Nar.
14	N	Jukunda, Józefata	<i>21 po Sosz.</i>
15	P	Leopolda w.	Akynda
16	W	Edmunda b. w.	Ajtała
17	Ś	Grzegorza cudotw.	Joanikja
18	C	Odonu tp.	Halaktjona
19	P	† Elżbiety kr. wd.	Pawła, ep.
20	S	Feliksa, Walezj.	Jerona
21	N	<i>Ofiar. N. M. P.</i>	<i>22 po Sosz.</i>
22	P	Cecylii p. m.	Onysyfora
23	W	Klemensa, Felicyt.	Erasta Or.
24	Ś	Jana od Krzyża	Miny W. St.
25	C	Katarzyny; Erazma	† Jos. Nila
26	P	† Piotra, † Konrada	† Iwana Z.
27	S	Wirgiljusza	† Fylyp. a.
28	N	Mansweta, Rufa	<i>23 po Sosz.</i>
29	P	Saturnina i Filem.	† Mateja ap.
30	W	<i>Adu. Andrzeja ap.</i>	Hryhorja

Święta uzn. moż. Dnia 7 Rozchodesz czyli 1-szy dnia m-ca Kislejw.



Pierwszy polski poemat lotniczy



Autorem jego jest Franciszek Dyonizy Książnin (1750—1793). Zdarzeniem, które popchnęło poetę do napisania poematu lotniczego, było puszczanie balonu na dworze Czartoryskich w Puławach, gdzie jak wiadomo, od r. 1775 poeta bawił stale w charakterze sekretarza ks. Adama, a później nauczyciela.

Poemat ten, jakkolwiek do pewnego stopnia do literatury domowej należy, jest jednak bardzo ciekawy ze względu na odzwierciedlenie w nim poglądów i wyobrażeń ówczesnych, a także i dlatego, że jak niektóre ustępy wskazują, poeta zdawał sobie sprawę, a raczej miał może tylko poetyckie poczucie, że lotny przyrząd papierowy (do którego w dodatku przywiązano kota), nie stanowi wyłącznie zabawki dla młodych ks. Czartoryskich, którzy pod nieobecność rodziców w Puławach utworzyli wielką Radę Balonową, ale, że nosi w sobie zarodki epokowego w historii ludzkości wynalazku. Poemat Książnina zainteresuje niewątpliwie i dzisiejszego czytelnika. Znajdziemy tu również niektóre ustępy, gdzie znajdują swoje odbicie ówczesne pojęcia fizyczne i chemiczne. Nadto dodać należy, że utwór Książnina pisany jest jędrną, świetnie zbudowaną oktawą. Dedykowany jest Marjannie ks. Czartoryskiej, późniejszej ks. Wirtemberskiej.

Poemat składa się z 10-ciu pieśni.

Oto ich tytuły:

I. Gazeta donosi o wynalazku Bani powietrznój, ztąd Rada względem iey budowy.

II. Zaczyna się budowa Bani, w ciągu téj Glikon woźny zasnął: sen iego.

III. Spór z przyczyny snu Glikona, przerwał pracę i żwawo zakłócił Radę.

IV. Idzie daléj robota do której zażrzewa umysły Aryston.

V. Spoczynek, z którego korzystając Poeta, ogłasza Imię Xiążąt Czartoryskich.

VI. Irys dowcipnym pędzlem ozdabia dwanaście ścian Balonu.

VII. Kota balonem puścić, Safronim radzi; zaczem Filenor obrany iest posłem do kotów; tych rada i odważne Filusia serce.

VIII. Muzofil mówi o powietrzu: po nim Filon chymik o gasie rzecz rozprowadza, Filenor przynosi kota.

IX. Rada względem puszczania Balonu. Fama więc leci do Eola, by raczył zesłać pogodę.

X. Puszczanie Balonu.

Osoby występujące tu nazwane są imionami klasycznymi. Więc, np., Tania (znaczy rządząca), jest to ks. Marjanna Czartoryska. Kliodora (od Klio, muzy historycznej) — Aleksandra Narbuttówna, Polifrena („Od wielu myśli, czyli wielomyślna”) — Madame Petit, guwernantka, Muzofil — ks. Adam Czartoryski, Glikon (od słowa glykos — słodki) ks. Konstanty Czartoryski, Hypsofil (lubiący wysokość, czyli górnomyślny), — Szymon L'huiller (ten sam, który Książnina przywiózł po raz pierwszy do Puław i przedstawił Księżciu) — był to znany w swoim czasie matematyk, autor wielu dzieł, Harmon. (od



Fot. Marjan Fuks

harmonji muzycznej) — Wincenty Lesel (autor muzyki do śpiewów historycznych Niemcewicza) i t. p.

Poemat się rozpoczyna od następującej oktawy:

*Ktoby się kiedy téy spodziewał myśli,
 Żebyśmy mieli po powietrzu latać?
 K'temu już ludzie na ostatek przyszli,
 Że się dziś mogą z płakami pobratać.
 Cudowną Banię pióro me okryśli,
 Jak ma wybuić, i wiatry zamiatać.
 Śpiewam tę Radę, co ją budowała:
 Dowcip tu pracą, a nagrodą chwała,*

Wyliczywszy już poszczególne pieśni poematu, przytaczać tu będziemy kolejno ciekawsze miejsca.

*Lecz, co zna dobrze świat stary i nowy,
 co myśli pięknie i co gładko pisze:
 Z temi się ozwie Klidora słowy:
 Przezacne siostry, baczni towarzysze,
 Czegóż to ludzkę nie wymyślą głowy?
 Nowych kłesk sobie szukają, jak słyszę.
 Ey, niebezpieczne z powietrzem frymarki,
 Wieluż to z niego postrącało karkę?*

*Nie po swej sile osiodławszy gońca,
 Padł z niego na łeb Bellerofon śmiały.
 Z jednego ziemi do drugiego końca,
 Wznosił się Ikar i plasnął na skały.
 Doświadczył młodzik, co to powóz słońca,
 Próżno go siostry tak rzewnie płakały.
 I ów, na koniu co skrzydlatym słygnął,
 Nie wiemy dotąd, gdzie Perseusz zginął.*

*Pocóż to zwiedzać zabronione kraie,
 kędy nam grożą błyskawice z grzmotem?
 Ziemia się kręcąc lecieć nie przestaje
 I nasze sprawy pląta swym zawrotem.
 Nie dość motylów mieć nam obyczajem,
 Jeszcze ich chcemy wyrównać i lotem.
 Niech ma to każdy do czego się rodzi
 Ptak niechay buia, a człowiek niech chodzi.*

*Tu Polifrena płci pięknej mistrzyni,
 Głębokiem zdaniem poważna i laty,*

*Ileż to skarbów ma natura w skrzyni,
Z której dobywać może świat bogaty,
Wielkim to dziełom zawady nie czyni,
Że ktoś szwankował, że płakano straty,
Nie arcybiegłym Dedal rzemieślnikiem,
A syn też jego płochym był wietrznikiem.*

*Kiedy ktoś pierwszy powierzył się fali,
Drażniąc styrując pęd gibkiego bata,
Stoiąc na brzegu mężczyźni się śmiali,
A siostry z matką truchlały o brata.
Lecz, gdy się inni na gwiazdach poznali,
Dziś Kook po wszech oceanach lata.
Więc kiedy człeku woda może służyć,
Za cóżby nie mógł i powietrza użyć?*

Do tego ustępu Książnin dodaje komentarz: Wiadomo, iak wiele za naszych czasów Kook Angielczyk do wydoskonalenia żeglugi morskiej przyczynił się.

Rozpoczyna się budowa balonu, w ciągu której Glikon zasnął; śni mu się, że leci nad Krępaniem (Tatry), zwiedza „Stomboł” czyli Stambuł, Mesyngę, jest świadkiem czułych scen w ogrodach sułtana. Z tego wszystkiego, co Glikon widzi we śnie — dodaje naiwnie Książnin — można brać miarę, do czego by balon, gdyby się wydoskonił, mógł być użytecznym.

Balon ów puławski miał posiadać ścian dwanaście i był w formie dodekaedronu. „Na podobieństwo pracy pszczół, o których uczone wydał pismo I. P. L'huillier p. t. „De cellulis Apum”.

*Kallisten zaraz wziął cyrkiel wyborny
i ścian dwanaście sznurem oprowadził.
Murofil pięć ryz papieru z Jeziorny
Na dużych szalach oburącz posadził.
Budownik Harmon, ochoczy a sforny
Dwa boki złączył i kleiem przyglądził,
W tym zagra wesół niby to z potrzeby,
Jak ów Amfion, gdy budował Teby.*

*Tymczasem, kiedy Filemon na dole
Z latarnią szukał odważnego kota
Siedząc na sali, dumali przy stole,
Co zdziałać może przemysł i ochota.
Ozwie się Glikon w uciszonym kole.
Skończonać, widzę tej Bani robota.
Ale, jak ona (raczcie mnie oświecić)
Ni ztąd, ni zowąd ma do góry wzlecieć.*

Na te woźnego*) proste, szczere słowa
Śmiech jakiś lekki przebiegł nasze twarze,
Poparła żywo płci słodszej połowa
Chęć jego w pięknym nauki zamiarze.
„Byłać, on rzecz, kiedyś o tem mowa
I coś słyszałem, jak o nocnej marze
Cóż to powietrze? Co za moc jest gasu
Z podpału słomy lub jakiegoś kwasu.

Na to mu odpowiada młody ks. Adam Czartoryski, zwany tu uczniem Hipsofila, t. j. Muzofil.

Dopieroż uczeń Hipsofila młody
W osnowie zwięzłej całą rzecz opiwa.
Cokolwiek, mówił, bądź ziemi, bądź wody
Niegasłej niebios światłości używa;
Płynny ów żywioł, największy swobody,
Okrąża zewsząd i wewnątrz się wliwa.
A wszystko sprzęgłe cudownym łańcuchem,
Budzi tchem wiecznym i ożywia ruchem.

Lubo przed naszym on wzrokiem uchodzi,
Znać tylko dając, że działa, że rusza,
Lecz ten, co twórczy spór żywiołów godzi,
(Potęga Potęg i Dusz naszych Dusza)
Z siebie i sobie w nas podobną rodzi
Myśl, iskrę rzadką swego geniusza:
Ta rozważając widzialne istności
Weszła w ukryte powietrza własności.

A widząc, iako z Przyrodzenia daru
Buia skrzydlata ponad niebem rzesza,
Jak dąży w górę mgła z ziemi rozparu,
I tworząc chmury deszcz na nich zawiesza,
Dociekła z czasem pewnego ciężaru,
Którym ten żywioł swe stosunki miesza,
Tych więc różnice w pilnej mając straży,
Dowcipu szalę ciężar jego zważy.

Na tej to wielkiej bez granic przestrzeni,
Tysiąc ma odmian dzielna jego władza

*) Młodziutki ks. Konstanty Czartoryski miał nadany tytuł woźnego czyli „dostrzegacza” przy całej tej imprezie balonowej.

Boską tam czynność kędykolwiek skłoni,
Ciągnie z rzek wody i burze zgromadza,
Tu stało płynie, tam pnie się lub roni,
Zgęszcza, odpiera, wzdyma i rozsadza,
Targając cząstki w rozmaitej mierze,
Lekszą sprężystość od płomienia bierze.

Ten go rozrzadza: moc zatem gorąca
Umnieszy wagę i wystrzał mu daie:
Częstsze on cząstki przeciw siebie wtrąca,
Naglony zewsząd od poboczney zgraię!
Część iego taką mniej wagi mająca,
Gdy dążyć musi w wyższe coraz krate
Rzecz równey siły może wznieść pomału,
I dodać skrzydeł wzniesionemu ciału.

Kiedy więc w cichym rozważa umyśle,
Jak świat rozlicznym toczy się obrotem,
Kiedy doświadczył i roztrząsnął ściśle,
Że tenże skutek za tymżz przymiotem...
Pierwszy od ziemi Montgolfier wyśle
Banię zwycięskim ośmieloną lotem:
Aby zdziwionym niebiosom doniosła,
Ze i tam nasze posuną się wiosła

Jak owa niegdyś Gołębicą białą,
Gdy nad wodami brzegów upatruie,
Że już z potopu ziemia wyizrzeć miała,
Rószczką zieloną Noemu zwiastuie:
Taką swym wzlocie i spuszcie wspaniała
Nadzieję świata ta Bania wskazuie,
Że gdy się człowiek odwadze poruczy,
Dowcip i sztuka latać go nauczy.

Lecmy już pierwsze uczyniwszy kroki,
Idzie przed nami doświadczenie przodem.
Bania tym silniey szarpie się w obłoki,
Im lepsza wewnątrz pod większym obwodem;
Duch płomienisty rozpiera iey boki
I wierzch potrąca sam naglony spodem
Chwyta go w siebie ten otwór łakomy
Z bukowych drewek albo suchej słomy.

Ale niech ogień będzie wytrawiony)
 Z tej grubości ośmy co z dymem dobywa,
 Nie maia cnoty ni też czystey łony,
 Wilgoć ni próchno ni smolne łączywa.
 Nie strawnym tłuszczem Balon upoiony,
 Chwieje się tylko i napróżno zrywa.
 Para ta właśnie jak wino surowe,
 Napęłni ciepłem i zadurzy głowę.*

*Ten ieno płomień służy niezawodnie,
 Który jak złoto nieskądzone, świeci:
 Bania tym duchem rozgrzana swobodnie,
 W nieznaną drogę puszcza się i leci.
 Nie inak wziąwszy miłości pochodnię,
 Gdy duszę tkliwą Szacunek roznieci;
 Unasza serce tym wyżey i trwalij,
 Im czystszyim ogniem niewinność się pali.*

*Lecz mało na tym, że tylko na chwilę
 Powietrzne dziwo wzbija się, iak raca
 Cóż stąd, że marną sprawi krotofilę?³
 Gaziego życia, z nim chlubę utraca.
 By więc mu na tej nie braknęło sile,
 Chyemiczna zręcznięty w to posłuży praca
 Naucz nas teraz tego kunsztu, o ty!
 Co umiesz w tyglu przetwarzać istoty.*

*Tu się mój Filon z krzesła swego ruszy
 Jak drugi Prystley***) albo Boerhawe.
 Aże nam luba zacność iego duszy,
 Wzbudzi życzenie, słuchoać go ciekawie
 Kunsztownym stylem mimo nasze uszy,
 Począł mistyczną rozpowiadać sprawę:
 Iaką treść, iaką dzielność tego kwasu,
 Który się w banią pędzi z koperwasu.*

*Tu zatrzymana u wierzchołka skały
 Lekka Bogini na iasnym lazurze:*

*) „Dwojaki jest sposób napęłnienia Bani gazem: ieden prosty, z płomienia czystego, a ten jest na chwilę, drugi chyemiczny z kwasu koperwasowego, czyli exacido vitrioli, a ten na tyle, na ile witryolu, przy bani razem będącego, dostarczyć można”.

(Przypisek Kniażnina)

**) „Prystley Anglik, a Boerhawe Holender. Sławni oba chymicy”.

(Przypisek Kniażnina).

„Eolu, rzekła (gdyż ci nieba dały
 Rządzić wiatrami i hamować burze)
 Oto ma widok nastąpić wspaniały,
 Którym Puławy dziś sprawią naturze
 Gdy tam z papieru balon wypuszczony
 Wzleci od ziemi pod niebieskie strony.

Nie lada ludzie chluby tęj szukaia
 Gruntując na niey pracy swéy nagrodę
 Na twoią tylko łaskę tam czekaia,
 Byś wiatry strzymał i zesłał pogodę.
 Na tę wieść duże oczy mu powstaią
 I rzecze, siwą potrząsnąwszy brodę:
 „Słyszeć mi o tem nie stawało cudzie,
 Ażeby latać jeszcze mieli ludzie“.

Na próżno widzę, pan całej natu-y
 Każdą rzecz w swojej osadził zagrodzie,
 Chociaż dał brzegi i warowne góry,
 Między ładami rozławszy powodzie:
 Mimo ich przepaść i groźące chmury
 Jednak bezbożne przeszkakuią łodzie.
 Jakaż moc tego i postrach utrzyma,
 Co sucho patrzy na śmierć przed oczyma?

Leci człek ślepy w zakazane strony,
 Odważen ponieść i straty i męki
 Takı ów śmiałek fortelem wzniesiony,
 Co aż ku słońcu chytręj pomknął ręki.
 I cóż mu przyniósł ogień ukradziony?
 Spadły na ziemię nędza, ból i ięki.
 A śmierć, co pierwej szła opornym krokiem,
 Poczęła mężnym doganiać poskokiem.

Dokąd ci, proszę, chcą dosięgnąć ludzie,
 Ufni aż nazbyt w zuchwałości samej?
 Piekła przebyli w bohaterskim trudzie:
 Nie masz odwadze ni prawa, ni tamy.
 A teraz, w iakieyś papierowéy budzie
 Przedrzeć się myślą do niebieskiej bramy:
 Ni boskiey ręce wśród rażącej łuny,
 Złożyć ogniste dopuszczą pioruny?

Otóż i Bania idzie znamienita,
 Czterma poważnie wzniesiona ramiony,
 Lud ią z okrzykiem i kłaskaniem wita,
 We dwa szeregi dla niej ustawiony.
 Kępa pospółstwem, iak mrowiem okryta:
 Pełne są chłopców dęby i jesiony.
 Filusia każdy z nich oglądać drze się,
 Co go na barkach Klidora niesie

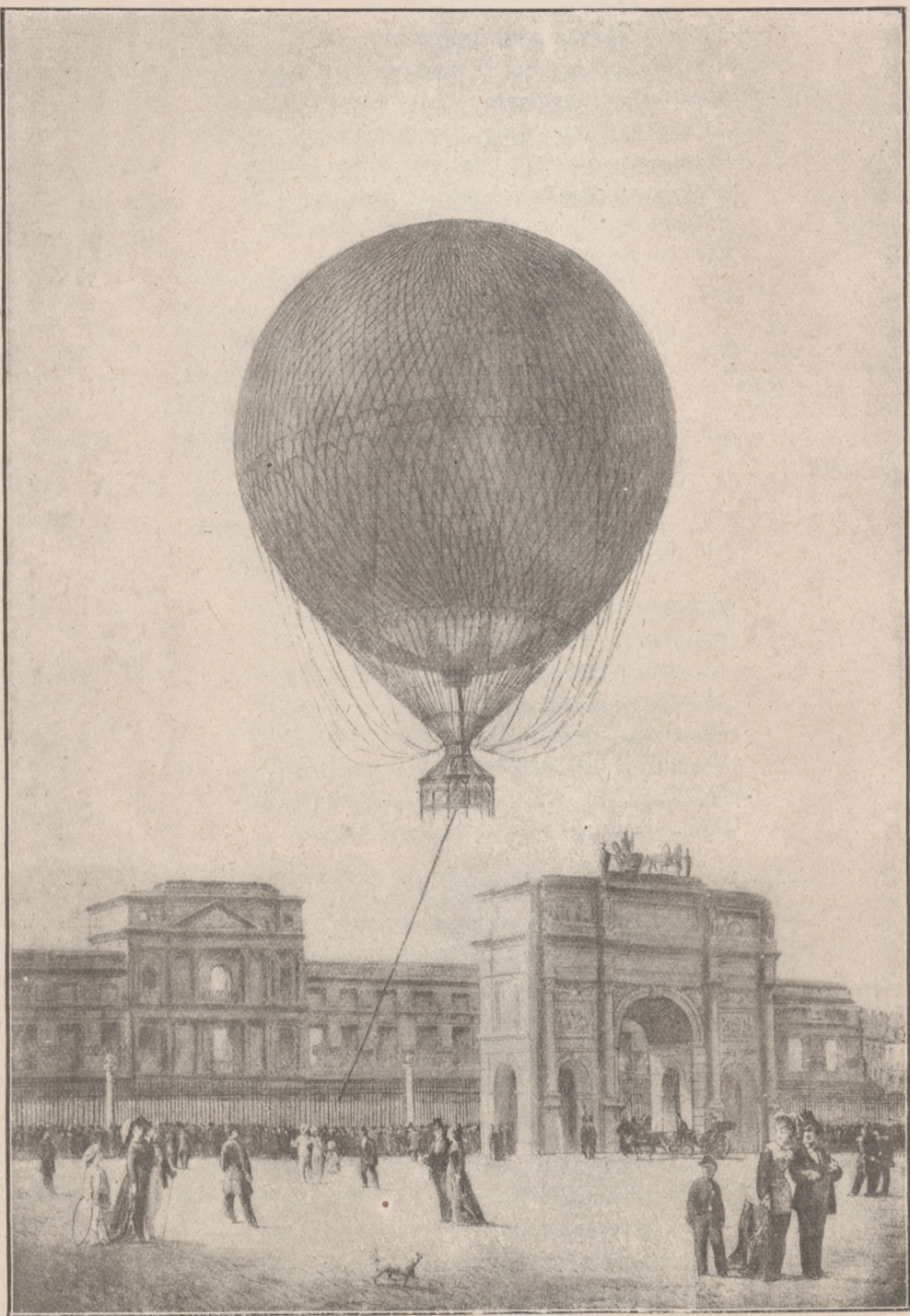
Jaко delficka nad trójnogiem ksieni
 Pracuje bóstwem i w siebie go ima:
 Tak naprężona wnątrz swoiëy przestrzeni,
 Płomiennym duchem Bania się odyma.
 Licznie dokóła widzą zgromadzeni
 Chciwemi na nią wystrzelą oczyma;
 Już podskakują ... już pragnie do góry...
 Czegóż tu czekać? Ucinamy sznury.

Już leci pokłask: i okrzyk powstanie,
 Filuś z wiatrami chlubnie poigrawa.
 Nawy powietrznej szczęsne wybuianie
 Wznosi radosna poglądaczów wrzawa:
 Płeć biała patrząc na kóta i Banię,
 Cieszy się, trwoży: tżliwa i ciekawa.
 By wszelkie od nich przypadki odegnąć,
 Filemon drogę raczył im przeżegnać

Ślicznyż ta widok! Nie same Puławy
 Ucieszył wzlotem wietrznego rycerza.
 Tu kędy cierpiał Korybut łaskawy,
 Gołębskie dachy podziwem uderza;
 Tam się zapatrzą, znaki przyszłej sławy,
 Górne a smutne mury Kazimierza
 Więc zapomniawszy na dawne Firleie,
 Miły Janowiec słodko się rozśmiej.

Opisawszy jak balon spadł, spłonawszy a Filuś rozerwał się na drzewie, kończy Książnin swój poemat nieco dziwacznie używając takiej historycznej refleksji:

Tak król Władysław uniesiony marną
 Podnietą, poszedł i zginął pod Warną.



Wielki balon na wieży Henryka Giffarda w r. 1878

Idee lotnicze w literaturze powieściowej

napisał Stanisław Sierosławski

Pierwsze zaczątki lotnictwa kryją się w mgłach legendy. Dlatego nie uda się nigdy znaleźć odpowiedzi na pytanie, czy sama idea oderwania się od ziemi i swobodnego szybowania przez przestworza zrodziła się pierwiej w umysłach jakichś nieznanych nam całkiem, zaginionych w odległości dziejowej, genialnych wynalazców, czy w wyobraźni poetów. Nie dowiemy się nigdy, czy starogreccki mit o tessalijskim rodzeństwie (Helle i Frixos), lub legenda o Dedalu i Ikarze posiadały jakieś podłoże rzeczywistości, czy też były wyłącznie tworem fantazji.

Natomiast nie ulega wątpliwości, że na wyobraźnię poetów i pisarzy idea lotu ludzkiego, pomysł człowieka-ptaka, musiał zawsze, po wszystkie czasy, działać niezwykle podniecająco. Było coś niesłychanie bohaterskiego, zwycięskiego i radosnego w tej idei, że ciało, skrzepowane ciężkością, potrafi zerwać krępujące je więzy i ulecieć swobodnie w przestworza, śladem wolnej myśli. Więc też wyobraźnia twórcza raz po raz powraca do tego tematu. Ślady tego odnajdujemy w baśniach wszystkich narodów, poczynając od opowieści tysiąca i jednej nocy, a nawet wcześniej jeszcze w opowieściach (spisanych przez Luciana) o perskim królu Cyzaresie, który podróżował na tronie „zbudowanym z lekkiego drzewa” i zaprzężonym w cztery orły. Wiele baśni podobnych spotykamy także w starej chińskiej literaturze.

Fantazja opowiadaczy bajek i poetów wiodła człowieka w powietrzne przestworza na długo przedtem, zanim możemy odnaleźć zaczątki my-

śli lotniczej u uczonych i wynalazców, takich np. jak jezuita Francesco Lana, twórca projektu latającej barki, jak brazylijanin Bartholomeo Lourenço de Gusmao z przydomkiem „l'Ovoador”, latający człowiek, lub niewątpliwie najgenialniejszy z wszystkich Leonardo da Vinci. Nie wytyczone jeszcze i nie ustalone były drogi rozwoju lotnictwa, dlatego też i te fantastyczne obrazy lotów są bardzo nieokreślone w linjach.

Dopiero wynalazek braci Montgolfierów daje realniejsze podstawy wyobraźni twórczej. I oto możemy zaobserwować fakt niezwykle charakterystyczny. Realizacja fantastycznego — jak sądziła dotychczasowość — pomysłu przytłacza wyobraźnię pisarzy. To, co nagle dała rzeczywistość, było większe i potężniejsze, niż fantazja pisarzy. W poezji i prozie owego czasu możemy znaleźć peany na cześć zdobywców powietrza, tu i owdzie zabrzmi złośliwa, satyryczna nuta, natomiast nikt z powieściopisarzy nie idzie dalej, ponad to, co zdobył istotnie ludzki umysł. Później, prawie zawsze, wyobraźnia wyprzedza postępy techniki, w tym przełomowym momencie nie wzuosi się nad zapisywanie faktów

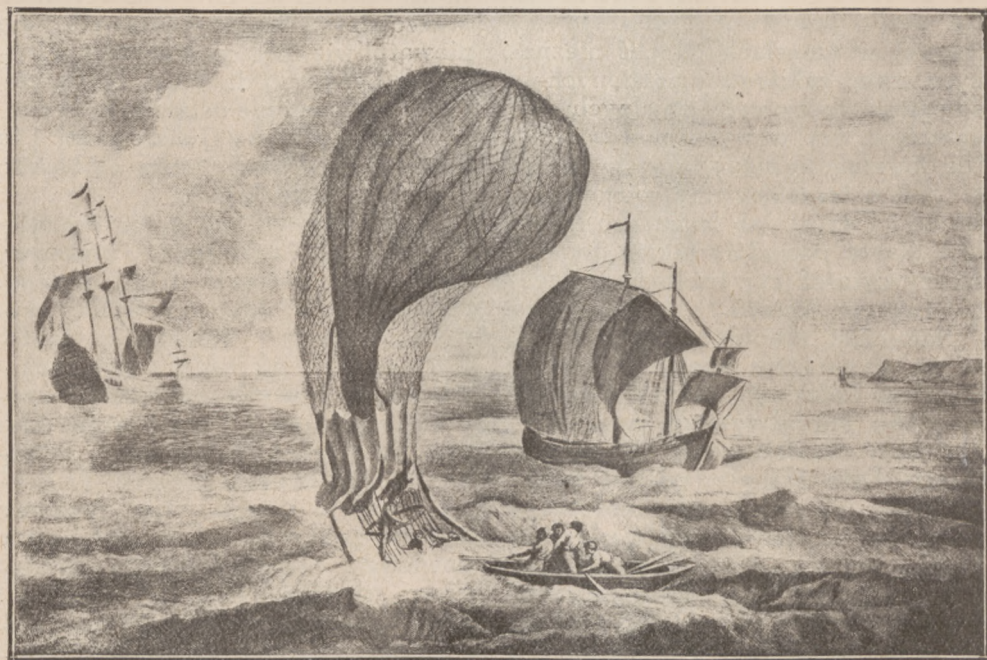
To „zachłyśnięcie się” literatury rzeczywistością zrozumiemy iem łatwiej, gdy sięgniemy do dokumentów epoki. Profesor Charles, konstruktor pierwszego udoskonalonego, napełnionego wodorem, a nie ograniczonym powietrzem balonu pisze w jednym ze swoich listów:

„Nigdy nic w moim życiu nie dorówna temu radosnemu uczuciu, jakiego doznałem, wznosząc się ponad ziemię; to nie była przyjemność, to

było naprawdę szczęście. Uciekwszy przed strasznym udrczeniem niewiści i oszczerstwa, czułem, że zawstydzam wszystkich moich nieprzyjaciół, wznosząc się ponad nich wszystkich. W ślad za tem moralnem poczuciem przyszło niebawem inne, nieporównanie silniejsze wrażenie: był to niewidziany nigdy dotąd ludzkiem okiem majestatyczny obraz całej natury, rozpościerający się w swej nieskończoności pod naszymi

łó to, co mogła zrodzić wyobraźnia i dlatego zapewne literatura, czujna zawsze na aktualność tematu, ogranicza się tylko do pieśni radości i zachwyty.

Przyszły potem katastrofy lotnicze. Jeżeli porównamy ich liczbę z tem, co ludzkość w ofiarach zapłaciła za wydoskonalenie aeroplanu, musimy stwierdzić, że tę olbrzymią zdobycz dnia dzisiejszego kupiliśmy za minimalną cenę. Bo w owe czasy



Zambeccari i jego towarzysze na Adriatyku w dniu 4 listopada 1803 roku

stopami; olbrzymi tłum 300.000 widzów rozścielał się, jak łąka, pod nami; w górze śmiało się niebo, nie skążone w swej piękności ani jedną chmurką, naokół w oddali czarował nas niezmierny horyzont. Przyjacielu, odezwałem się do pana Roberta (towarzysz podróży. Przy p. a u t.), jakże wielkie jest nasze szczęście? Nie wiem, jakie ziemia żywi dla nas uczucia, ale czyż niebo nie otwiera się przed nami?"

Dzieło rzeczywistości przewyższy-

niamal każdy zdobywca powietrza płacił życiem za swoją śmiałość.

Wśród powieściowej literatury lotniczej jest niezwykle interesująca nowela Jules Verne'a „Niesamowity gość”, barwna historia zaczątków balonowego lotnictwa. Do gondoli aeronauty zakrada się gość nieproszony, warjat, który śmierć wskutek katastrofy uznał za największe szczęście, jakim może uwieńczyć swoje życie. I wyrzucając raz po raz worki balastu, wiodące balon ku

nieuchronnej zagładzie, opowiada jednocześnie swemu gospodarzowi losy tych wszystkich, którzy już zginęli, zdobywając władzę nad powie-trzem. Wprost olbrzymia jest ta liczba pionierów lotnictwa. Niektórzy z nich wielokrotnie przeżywali mękę śmierci, a ocalawszy szczęśliwie, szli nieustraszenie w nowy bój z przyro-dą. Jakże tragiczne i wzruszające są np. dzieje hrabiego Zambecari i je-go towarzyszy Grossetiego i An-dreoliego.

Te dramaty życiowe były tak po- tężne, że literatura nie mogła współ- zawodniczyć z nimi tworam wyo- braźni. Oddawała tylko hołd bohate- rom i apoteozowała ich czyny. To też z tego okresu zanotować można właściwie tylko jedno literacko war- tościowe dzieło, pozostające w związ- ku z lotnictwem. Jest to nowela-gro- teska genialnego amerykańskiego pi- sarza Edgara Allana Poëgo „Hansa Pfaalla podróż na księżyc”. Złośli- wość pod adresem wynalazców, a przedewszystkiem uczonych, o czem świadczą choćby końcowe słowa, że „astronomiczne kollegium w mieście Rotterdamie, jak wszystkie zresztą kollegia w innych częściach świata, jest, uprzejmie się wyrażając, ani lepsze, ani roztrośniejsze, ani medr- sze, niż należy”.

Ale groteska jest napisana żywo, z ogromnym temperamentem; rzeko- me naukowe wywody dowodzą, że autor posiada własne, bynajmniej nie płytkie, mniemanie o poruszonym te- macie. Nowela, godna uwagi choćby dlatego, że, aczkolwiek jest w swej istocie persiflażem, to jednak jest ró- wnocześnie pierwszą lotniczą fanta- zją w literaturze. Hans Pfaall jest wynalazcą gazu, znacznie lżejszego od wodoru, konstrukcja jego balonu już w p r z e d z a współczesny po- ziom wiedzy aeronautycznej, zaś po- myśl kauczukowej opony w rejonie bezpowietrznym nie jest — uwzględ- dniwszy współczesną technikę i wie- dzę — bynajmniej gorszy, niż stalo-

we pociski księżycowych pielgrzy- mów Verne'a czy Żuławskiego.

Rywalizację między techniką i wy- obraźnią powieściopisarską rozpo- czyna faktycznie dopiero Jules Ver- ne. Dla niego balon nie był już fra- pującą nowością, nie imponował jego fantazji. Gdy mówi o bieżącym sta- nie aeronautyki, konstatuje go, jako coś normalnego (np. w prologu po- wieści „Wyspa tajemnicza”). W tym okresie i umysł twórcze wynalaz- ców i wyobraźnię powieściopisarzy zajmował problem inny, problem, który dopiero w wiele lat później zostanie wcielony w życie, problem latania przy pomocy aparatów cięż- szych od powietrza. Balon tylko na względnie krótki czas zaspokoił ma- rzenia ludzkie zdobycia powietrz- nych przestworzy. Próby nadania mu samodzielnego ruchu, uniezależnienia go od prądów powietrza, kończyły się stale niepowodzeniem: prace ge- nerała Meusniera, inżyniera Giffar- da, braci Tissandierów nie rozwią- zywały problemu. Z górą sto lat dzieli wolny balon Mongolfierów od pierwszego balonu ze sterem. Tym- czasem zaś i konstruktorzy i powie- ściopisarze patrzyli bez przerwy na ptaki i na owady, więc na stworze- nia, cięższe od powietrza, a przecież lekko i swobodnie unoszące się w powietrzu. To był ideał, do którego należało dążyć.

Zanim jeszcze bracia Lilienthal do- konają swych śmiałych prób z lataw- cami, które staną się podstawą przy- szłego rozwoju lotnictwa, Verne pi- sze już swą powieść „Robur Zwy- cieżca”. Pokolenie współczesne trak- tuje Verne'a bardzo niesprawiedli- wie. Może dlatego, że zna go za ma- ło. Verne jest niewatpliwie, na dzi- siejsze czasy, pocziwym gawędzia- rzem, jak zresztą większość współ- czesnych mu pisarzy, z których dzieł możnaby i należałoby przynajmniej połowę wykreślić, bez szkody dla ca- łości. Ale Verne jest jednocześnie wprost genialnym w tworcach swej

fantazji na tle techniki i wynalazków.

Pod tym względem jego utwory są genialną wizją przyszłości. Wszak historję kapitana Nemo napisał wówczas, gdy w mózgach wynalazców majaczyła dopiero myśl łodzi podwodnej. A maszynerja, jaką się posługuje bohater „Robura - Zwycięzcy”, jednocząca w sobie samochód, łódź motorową i aeroplan, po dziś dzień jest tylko marzeniem konstruktorów. Zapewne, w szczegółach współczesna wynalazczość poszła nieporównanie dalej, niż sięgał wyobraźnią Verne; jego fantastyczny wynalazek szwankował mocno w technicznych linjach; inaczej być nie mogło, bowiem poziom owoczesnej techniki był jeszcze niższy, aniżeli jego wizje. Ale sam pomysł jest naprawdę niezwykły, dzięki czemu tę powieść Verne'a można i dzisiaj przeczytać z niemniejszym zainteresowaniem, niż czytali ją współcześni.

Przez długi okres następny literatura powieściowa nie interesuje się prawie całkiem lotnictwem. Tu i ówdzie znajdujemy zaledwie drobne, mało znaczące epizody, w których wchodzi w grę balony. Problem aparatu cięższego od powietrza napiętnowała opinia uczona i powszechna, jako mrzonkę, więc i powieściopisarze, idąc za głosem ogółu, nie kuszą się o rozwiązywanie tego problemu w swej wyobraźni.

Dopiero wynalazek sterowca i prawie jednocześnie pierwsze tryumfy aeroplanowe dają nowy temat i impuls literackiej twórczości. Coraz jaśniej przenika do wyobraźni olbrzymie znaczenie żeglugi powietrznej, przewrót, jaki w całym życiu świata może powodować balon ze sterem i samolot. Fantazja powieściopisarska maszeruje naprzód w milowych butach z bajki. Na półkach księgarskich mnoży się ilość powieści lotniczych o najrozmaitszym charakterze i tendencji. Sterowiec lub aeroplan staje się w rich

narzędziem niszycielskiej wojny, lub gwarancją światowego, powszechnego pokoju, staje się środkiem zemsty lub walki o wolność uciśnionych narodów, umożliwia odkrywanie i badanie nieznanych światów, zwłaszcza tajemniczych biegunów ziemi, staje się bronią w rękę przestępców i ścigającej ich sprawiedliwości. Wyobraźnia powieściopisarzy dokonuje wynalazków i udoskonalień, o jakich nawet nie śmie jeszcze marzyć realna technika.

Literatura powieściowa, traktująca problemy lotnictwa, jest w ostatnich dziesiątkach lat niezmiernie obfita i posiada, oczywiście, bardzo różnorodną wartość. Nie wdając się w wyliczanie i szczegółowe rozpatrywanie tego wszystkiego, co przeczytałem w ciągu lat w tej dziedzinie — a byłaby to niewątpliwie tylko drobna cząstka olbrzymiej produkcji — pragnę poniżej wspomnieć o paru utworach, które szczególnie na to zasługują, bądź jako pewne typy, bądź ze względu na swe wielkie artystyczne walory.

Na pierwszym miejscu wśród tych povernowskich powieści lotniczych postawić trzeba E. G. Seeligera „Błękitną flotę”. Pobudką twórczości był sterowiec, powieść bowiem napisana jest na przełomie okresu, kiedy balon ze sterem już istniał, a pierwszy płatowiec nie wzblił się jeszcze publicznie w powietrze. Powieść Seeligera jest jednocześnie fantazją techniczną i utopią społeczną. Zagadnienia, jakie porusza, scharakteryzuje najlepiej następujący wimek zaraz z pierwszych kart książki.

— Czy ty wierzysz w przyszłość żeglugi powietrznej? — zapytuje bohater, Waldemara Quinta, wynalazcę stałego wodoru, jego przyjaciel Manuel Rochalves. — Balony ze sterem nie będą miały nigdy praktycznego znaczenia.

— Jakże niedaleko patrzysz. Weź w rachubę nie Zeppelinowski system, lecz francuski. Weź w rachubę

mój stały wodór, zastąp motor i-enzynowy elektrycznym, a będziesz miał balon, którym można latać po powietrzu, póki powłoka nie pęknie.

— A energia elektryczna?

— Pomyśl, ile elektryczności znajduje się w powietrzu. Ja ją wyzyskam, uczynię ją podległą mej woli.

To fantastyczno - techniczny problem powieści Seeligera. Zaś społeczny problem znajduje wyraz w następującej rozmowie:

interes nawet z wojny. Przeciw wojnie jest środek tylko jeden: wojna. Tylko strach może sprowadzić pokój. Przed stu laty omal się to nie stało. Gdyby Napoleon zdołał uczynić jeszcze jeden krok, przebyć kanał...

— Napoleon umarł, a drugi jeszcze się nie urodził.

— Nie, ten drugi żyje. Jest to nowoczesna technika. Daj każdemu żołnierzowi do ręki środki, z pomocą



Warsztaty aeronautyczne Lachambra w Vaugirard (r. 1883)

— Powszechne rozbrojenie, konferencje pokojowe, zbratanie narcodów — mówi Manuel — to bardzo piękne idee, chociaż, mojem zdaniem, niemożliwe do przeprowadzenia w drodze dyplomatycznej. Raczej wierzę w wielką międzynarodową wspólność interesów na podstawie ekonomicznej. My, kupcy, jesteśmy powołani, aby wojnę usunąć z powierzchni ziemi.

— Wy kupcy — szydzi Waldemar Quint — wy, kupcy, usiłujecie zrobić

których może zniszczyć cała armja, a cel będzie osiągnięty. Świat ułęknie się wojny.

W myśl tej idei buduje Waldemar Quint na pustej, skalistej wysepce koło Madery, z pomocą kilku zatra-ceńców, flotę powietrzną, o błękitnej barwie, aby była prawie niewidzialna na tle błękitu nieba. Przy pomocy swych statków usiłuje zmusić Anglię do rozbrojenia się na morzu, chcąc kolejno przeprowadzić powszechne rozbrojenie. Dumny Al-

bion nie godzi się ustąpić pod terrorem. Zdobywszy przypadkiem wiadomości o schronisku i podstawie operacyjnej wynalazcy, występuje do walki z nim. Flota brytyjska koncentruje się koło Madery rzekomo na morskie ćwiczenia; Waldemar Quint, zdradzony przez najbliższych, ginie w tych zapasach, a dzieło jego wali się w gruzy. — Powieść, napisana barwnie, płacze zręcznie elementy techniki, polityki, dyplomacji i sentymentu.

Inaczej ujmując temat głośny powieściopisarz-fantasta Henry George Wells w swej powieści „Wojna w powietrzu”. Oczyma swej wyobraźni widzi przedewszystkiem grozę takiego powietrznego starcia i straszne jego skutki dla ludzkości. Miasta, środowiska cywilizacji, padają w ruiny, zasypane środkami wybuchowymi z sterowców i aeroplanów; poziom kultury i życia cofa się wstecz o całe wieki. Kończy się panowanie białej rasy nad światem, przychodzi do władzy, a nawet wszechwładzy, rasa żółta, straszna i obca w swej psychice. Obrazy, jakie Wells rozsuwa przed czytelnikiem są niezwykle potężne i pełne grozy. Kulminacyjnym punktem jego powieści, jest walka powietrzna, rozgrywająca się między białymi i żółtymi nad wodospadami Niagary.

Oto parę momentów z tego rozdziału:

Bert Smallways stał na moście nad Niagarą, w miejscu, tak licznie niegdyś odwiedzanym przez turystów. Teraz był jedyną ludzką istotą, jak okiem sięgnąć. Pod nim piecił się burzliwie prąd rzeki, nad nim, w zawrotnej wysokości, podążała powietrzna flota wschodnio-azjatyckiego sojuszu naprzeciw niemieckiej flocie księcia Karola Albrechta, który zniszczeniem pancerników amerykańskich na Atlantyku i bombardowaniem Nowego Jorku rozpętał wojnę światową.

Najpierw ujrzał Bert tylko tak zwaną południową flotę azjatów. Składała się ona z czterech statków powietrznych, którym towarzyszyło z obu stron około czterystu aparatów lotniczych. Przez długą chwilę przepływała ta armja wzdłuż niemieckiego frontu. Zrazu rozróżniał Bert tylko większe jednostki bojowe, potem zauważył też maszyny jednoosobowe, cały rój drobniutkich punkcików, migoczących, niby pyłki w słonecznym blasku...

Zdawało się, że obie floty nie spieszą się z rozpoczęciem walki. Azjaci przelecieli daleko ku wschodowi, powiększając chyżość i wzbijając się w górę, potem rozwinęli się w długą kolumnę i zwrócili się przeciwko lewemu niemieckiemu skrzydłu. Drobne błyski, stłumiony huk strzałów tu i tam dowodziły, że otwarto ogień. Potem, niby garść płatków śnieżnych, ruszyły do ataku latawce. Powitał ich deszcz czerwonych iskier. Aparaty wznosiły się i opadały, raz poraz któryś z nich zakoziółkował w powietrzu i walił się na ziemię... Po lewej stronie walka zmieniła się w obłąkańczy taniec powietrznych statków. Przez parę chwil wydawało się, że na niebie toczy się bój pierś o pierś. Potem skotłowane floty rozdzieliły się w grupy niewielu zapaśników. Jakiś azjatycki olbrzym zderzył się z niemieckim potworem i oba, kręcąc się dokoła siebie, podążały ku nieuniknionej katastrofie... Tam znów buchnął płomieniami niemiecki statek, otoczony tuzinem płaskich, japońskich aparatów lotniczych, udaremniających mu ocalenie... Gdzieindziej spadał statek japoński, cały ogarnięty płomieniami... Poruszając się falującą linją, potwory zmagają się z sobą, podobne ścierającym się chmurom. Wirowały i zataczały koła, koncentrowały się i rozpraszały.

Widocznem było, że Niemcy ulegną w tej nierównej walce. Walczyli

teraz tylko o to, by umożliwić sobie ucieczkę. Azjaci czepiali się ich z wszystkich stron, rozpruwali ich komory gazowe, ciskali w nie zarzewie ognia, niszczyli z zaciętością załogę statków... Walcząca w swem łonie masa przetaczała się z miejsca na miejsce, nabrzmiewała jak ciężarna burza chmura i zaciemniała niebo. Płaskie statki azjatyckie wznosiły się w górę nad niemieckimi i raziły je piorunami swych strzałów, skierowanych w zbiorniki gazu i w skrzydła; samoloty otaczały wroga, niby rój rozwścieczonych pszczół, dolatując ku niemu i kąsając...

Statek admirałski „Hohenzollern” odniósł ogromne uszkodzenia. Kołysał się niepewnie, nagle zawrócił, jakgdyby chciał uciec z pola walki, ale równocześnie na przodzie i z tyłu buchnęły stupy ognia. Runął w nurty rzeki i toczył się po nich, niby jakaś żyjąca istota. Złamana i pogięta śruba kręciła się jeszcze w powietrzu. Chmury dymu i pary wodnej głużyły płomienie... Prąd unosił go z sobą, jak ogromną wyspę. Nagle płonący rozbitek uderzył o most, łączący Kozią Wyspę z miastem Niagara. Środkowe komory eksplodowały z wielkim hukiem, most runął, ciało sterowca zatrzepotało się, podobne groteskowemu, obszarpanemu kalece, zawahało się przez chwilę i zniknęło rozpaczliwym, samobójczym skokiem w mgłach wodospadu...

Pokonawszy białych, zwycięska żółta flota powietrzna przepływa niszczycielską falangą nad światem, niszczy jego cywilizację, doprowadza nieliczną, ocalałą z pogromu ludność niemal do stanu pierwotnego barbarzyństwa.

Wells napisał swą powieść na parę lat przed wielką wojną europejską. Niektóre epizody tej wojny dowiodły, że przewidywania powieściopisarza nie są zbyt nieprawdopodobne. Wojna w powietrzu — zwłaszcza złączona kiedyś z wojną gazową — zagraża naprawdę ludzkości zniszczeniem,

jakiego nigdy jeszcze nie zapisały dzieje. Sięgając wizją wyobraźni daleko poza chwilę obecną, Wells wypowiada swe groźne „mentemento” pod adresem ludzkości.

Oba wyżej wspomniane utwory są w swej istocie raczej fantazjami społeczno-politycznymi, niż lotniczymi. Pierwszą wielką powieścią lotniczą w literaturze światowej jest dopiero książka d'Annunzia „Może tak — a może nie”. Jest to również najpiękniejszy i najpotężniejszy hymn tryumfu, jaki człowiek wyśpiewał dotąd ku chwale lotnictwa. Wielki poeta potrafił wcielić się wprost w duszę lotnika, potrafił przeżyć wyobraźnię, wszystkie jego radości i tragedje.

Weźmy jako przykład jedną z najwspanialszych kart powieści d'Annunzia, malującą zawody lotnicze na polach Ardei, odbywające się wobec tysięcznych tłumów. Dwaj przyjaciele lotnicy, Giulio Cambiaso i Paolo Tarsis walczą tu o palmę pierwszeństwa.

Nigdy jeszcze nie odczuwał Giulio tak silnie tego najściślejszego związku między maszyną a swoim ciałem, między swoją wywiczoną wolą i tą ujarzmioną siłą, między swymi instynktownymi ruchami, a poruszeniami tego mechanizmu. Od skrzydeł śmigła, aż do pletwy steru, cały ten kołyszający się stwór był niejako organicznym przedłużeniem i wzbogaceniem jego własnej istoty... Doznawał wrażenia, że te dwie płaszczyzny są zrosnięte z nim żywymi tkankami, że pulsują krwią, jak mięśnie w piersiach sępów, które widział podczas wzlotu na skałach Mollkadamu, a później nad bagnami Sakuru...

Paolo Tarsis dogonił przyjaciela. Mijając jego aparat, wykrzyknął hasło, jakiem pozdrawiali się na wędrówkach, na polowaniach, przy biwaku... „Czapla!” — Tłum powtórzył okrzyk, oszołomiony tą wytworną i niebezpieczną grą, tem świętem

zręczności i odwagi, tą rywalizacją dwóch braterskich lotników. Zagrzeźni tym przykładem inni zerwali się do lotu, ruszyli w ich ślady. Wszystkie hangary huczały, pełne wichrów, jak jaskinia Eola. Jeden aparat po drugim, porywany w powietrze oszalałą gwiazdą śmigła, dążył na zdobycie błyszczącego nieba. Wszystkie moce marzenia rozpięły pierś śmiertelnych ku szczęściu człowieka. Duma ludzkości przekroczyła tysiąclecie, uskrzydliła czas, węgubiła swój wzrok w przyszłość, otwierała nowy okres. Niebo stało się trzecim państwem, zdobytem nie z pomocą tytanicznie spiętrzonych złomów skalnych, lecz z pomocą błyskawicy, ujarzmionej i przemienionej w niewolnika...

Giulio wznosił się do niebywałej wysokości. Tłum zamarł w nieruchomości, stał z zapartym oddechem, skupił w spojrzeniu całą duszę... Strach niewiadomego ciężył na każdej piersi.

„— Nie dalej! nie dalej!.. — szeptał głos troski.

„— Wyżej! Wyżej!” — krzyczał głos upojenia.

„— Dosyć! Już za wysoko! W głowie się kręci!”.

„— Dalej! Wyżej! Jeszcze chociaż do brzeżka tej chmury!”.

„— Dosyć! Wiew wiatru cię strąci, drobiazg cię zdruzgotce: drut, który pęknie, iskra, która nie zapłonie!”.

„— W górę! Do tej wysokości dotarli już inni przed tobą. Musisz się wznieść wyżej, aby zdobyć nowe nieba”.

Okrzyk z tysiąca gardzieli gębnał w górę. Na sygnałowym maszcie pojawił się biały sygnał zwycięstwa.

„— Dosyć! Zwycięstwo twoje!”.

„— Wyżej! zdobądź podwójnie tryumf!”.

Mistrzowski wprost jest ten obraz nastroju duszy lotnika i nastroju duszy tłumu. A z jakimż sentymentem rozpaczny maluje d'Annunzio następującą w chwilę później katastro-

fę, wskutek pęknięcia śmigła, które opada „niby to pierwsze pióro, jakie spadło na morze ze skrzydeł Ikar”. Wśród szczątków rozbitego aparatu, wśród strzępów podartego płótna płaszczyzn, leży martwe ciało bohatera, oparte tyłem głowy o skrzynię motoru w ten sposób, że siedem cylindrów maszyny promienieje niby aureola dokoła twarzy.

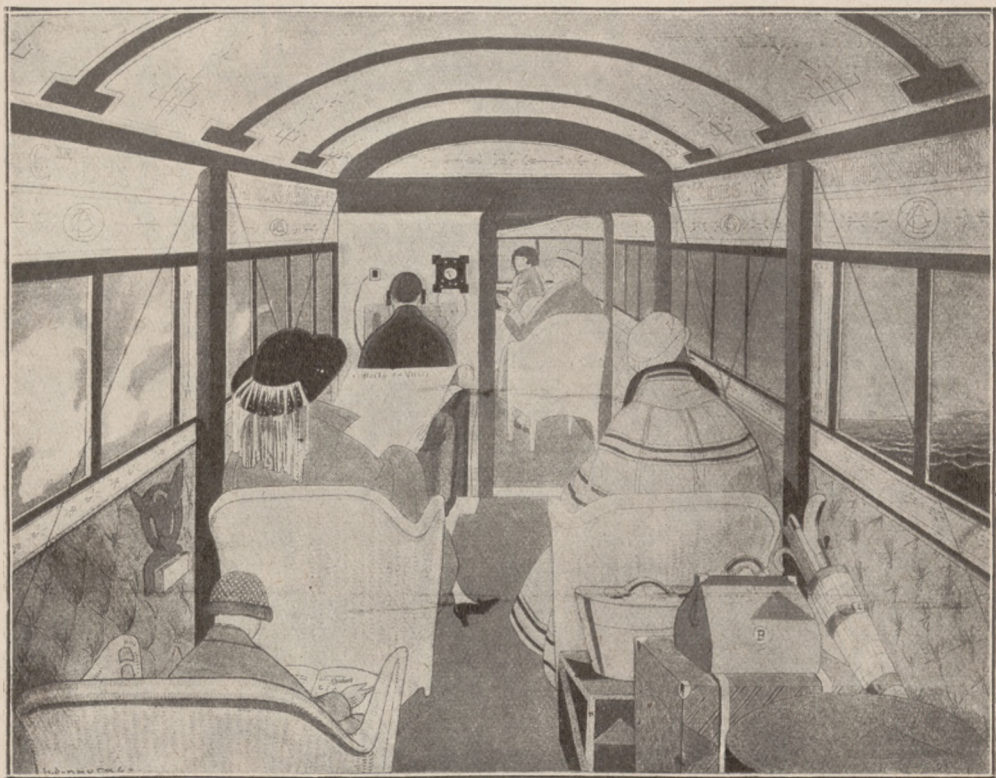
Epizodycznie występuje sterowiec i samolot w bardzo wielu nowszych powieściach. Spopularyzowany już, jako środek lokomocji, staje się coraz częściej zwykłym rekwizytem, zastępującym w toku akcji zaprzęg konny, lokomotywę, samochód. Takim np. widzimy samolot w powieści Norberta Jaquesa „Dr. Mabuze”, której epilog, dramatyczna walka między wielkim zbrodniarzem a reprezentantem sprawiedliwości, prokuratorem Wenkiem, rozgrywa się w powietrzu, na wysokości wielu metrów ponad powierzchnią morza. Tu już samolot jest zwykłym przedmiotem użytkowym, nie zaś dziwnym tworem powieściopisarskiej wyobraźni. Bardziej fantastycznie ujęty jest samolot np. w powieści L. Couperusa „Latająca szachownica”, grotesce, której akcja odbywa się wprawdzie przy rycerskim okrągłym stole króla Artusa, ale w którą autor zabawnie wprowadza najnowsze wynalazki techniczne, jak telefon, samochód, a nawet radiotelefony. W utworze tym i „latająca szachownica” jest jakąś przedziwnie skonstruowaną maszyną lotniczą i słynny czarodziej Merlin posługuje się olbrzymim, sztucznym ptakiem Feniksem, przypominającym swym wyglądem nasze nowoczesne aeroplany.

Szczególnie bogato reprezentowana jest idea lotnicza w literaturze dla młodzieży. Sterowiec lub aeroplan służy bohaterom do wywalczenia wolności swych narodów, lub do odbywania niezwykłych odkrywczych podróży. W tym zakresie posiada i polska literatura kilka dzieł

wartościowych, wśród których na pierwszym miejscu wymienić trzeba opowieść St. Barszczewskiego „W 8 dni dookoła świata”, dalej zaś powieść Wł. Umińskiego i t. p. Są to utwory o charakterze przygodowym, nierzadko pisane barwnie, z dużą znajomością zasad lotnictwa. Z pośród wybitnych polskich pisarzy poświęcił samolotowi parę epizodów Żeromski w swej powieści „Uroda życia”.

Naogół bibliografia utworów powieściowych, poruszających lotnicze

tematy, objęłaby dobre kilkaset numerów. Jak już wspomniałem, dorobek ten przedstawia bardzo różnorodną wartość. Naprawdę cennych dzieł znajdzie się wśród niego niezbyt wiele. Ilościowo jednak dowodzi on, jak bardzo niemal wszystkie narody interesują się problemami lotnictwa. Niestety, Polska pozostaje dotąd w tyle. Ale nie ulega wątpliwości, że większe zainteresowanie się szerokich kół społeczeństwa lotnictwem, powiodłoby i wyobraźnię powieściopisarzy ku tym tematom.



Expres nadpowietrzny.

LOTNICTWO DLA WSZYSTKICH.

CZYLI DOGLĄDOWY WYKŁAD TERMINOLOGII LOTNICZEJ
W PORZĄDKU ALFABETYCZNYM UKOŁOŻE A. ŚWIDWIŃSKI.

I. ABC
LOTNICZE
(PIERWSZE
WZLOTY)



BALON
NA UWIEZI



BA =
LAS =
TU
ZRUCANIE



CIEPISZE OD
POWIETRZA
APARATY LOT.
(SPRAWDZIC!)



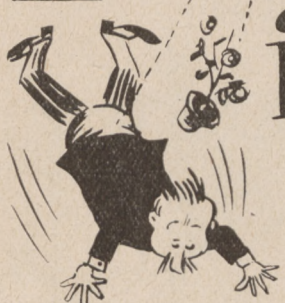
INSTYTUT
AERODYNAMICZNY



CYROSTAT
(CZYTAJ „ZYROSTAT”)
= TEN CO CI DAŁ
ZYRO.



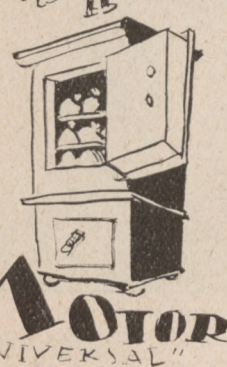
KURS
MODELARSTWA



MOTOR
syst. „UNIWERSAL”



MOTOR
syst. „UNIWERSAL”



OBSEKATOR

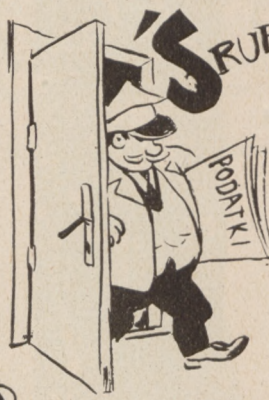


LOTNICTWO DLA WSZYSTKICH.

II.



OLIWA



SRUBA



START



LOT

MYSLIWSKI



KOROKOCIAG



LOT BEZ MOTO RU



MARTWA PETLA.

SLIZGANIE NA SKRZIDLE

(B. ME BEZ - PIECZNE)



WIPOZINEK NA LAURACH.



LAURA

WYD. SWIDWINSKI.

Jerzy Słonkowski

Lot w Zaświaty

z ilustracją

mi autora

Ryś nareszcie przemówił.

Spodziewaliśmy się tego dawno, oczekiwaliśmy kiedy zechce nam wyjaśnić tajemnicę tej katastrofy, która była dla nas, starych pilotów niezrozumiała i niewytłomaczona.

Ale, — od wyjścia swego ze szpitala — Ryś jakby zaniemówił. On, dawniej taki wesoły i towarzyski. — włączył się teraz dniami całymi po lotnisku, a na zadawane pytania odpowiadał monosylabami i niechętnie. Mizerny jego wygląd przypisywaliśmy z początku ciężkiej, przebytej chorobie, minął jednak tydzień i drugi a położyła jego, zapadnięta twarz, w której świeciły tylko gorączkowym blaskiem oczy, mierzchła i zwierała się w sobie coraz bardziej. Wreszcie, wiedzeni uczuciem delikatności, przestaliśmy się zwracać do niego. Widocznie trzeba było zostawić go samego z jego niewesołymi myślami, pozwolić by to coś, co jego męczyło i nękało, przetrwało się samo, zamarło w pamięci, zatarło



w perspektywie wszechgojącego czasu. Obserwowaliśmy go tylko z pod oka, gdy nerwowym, nierównym krokiem, wchodził do hangaru, podlubał coś tam od niechcienia koło maszyny, odchodził, — znów wracał, — znów gmerał bezcelowo pod maską motoru.

I nagle podejrzliwym okiem rozglądał się dookoła jakby chcąc wyczytać z naszego zachowania się czy nie widzimy tych dziwactw. Odwracaliśmy wówczas zawstydzone spojrzenia, udając srodze zajętych swoją robotą. Przykro było nań patrzeć. Martwiliśmy się, — Ryś był dobrym kolegą, dzielnym chłopcem, doskonałym i odważnym pilotem, człowiekiem o niezrównanej energii i rozmachu życiowym.

Zrozumiałe było, że musiało to wyrzucić na nim duże wrażenie, to podłe zdarzenie. Ryś spadł z samolotem, mając jako pasażera swego najlepszego przyjaciela. Tamten się zabił, Ryś złamał dwa żebra i nogę.

Ale, z drugiej strony, kaźden z nas przecie

ciągle przygotowany jest na najgorsze i spodziewa się lada dzień spotkania oko w oko ze śmiercią. Więc ostatecznie... Byliśmy zaintrygowani. Coś tam kryć się musiało innego poza tem wszystkim, niż zwykła katastrofa lotnicza.

A Ryś ani słówkiem nie wspominał, co ją spowodowało... Aparat był w jak najlepszym stanie,— motor nowiuteńki, oblatany cztery czy pięć razy wszystkiego.

O tem, żeby miał stracić orientację myśleć nawet nie było można. Byliśmy wszyscy wyćwiczeni w nocnych lotach znakomicie.

Więc co?

Komentowanie wypadku było prawie wyłącznym tematem koleżeńskich gawęd podczas choroby naszego kolegi. Co dziwniejsze, Ryś miał jakąś niechęć do wzlotów. Dawniej latał codzień— i długo. Po chorobie dwa czy trzy razy był w powietrzu. Zwyczajne, banalne loty. Nic z dawnej, oszałamiającej brawury, nic z tego cudownego prowadzenia, tego prowadzenia, które wywoływało ciche przekleństwa uznania z ust widzów, które wyrobiło mu przydomek: Petroniusza atmosfery.

Wreszcie postanowiłem przetrwać ten stan nieznośny, który łatwo mógł się skończyć u Rysia czarną melancolją.

Odbyłem krótką konferencję z komendantem eskadry— rezultatem której było wystawienie dwu dwutygodniowych urlopów: dla „Petroniusza” i dla mnie.

Nie napotkałem wybitnego oporu z jego strony, gdy mu zaproponowałem wycieczkę na wieś do dobrego mojego znajomego, zapalonego wielbiiciela lotnictwa. Sądziłem, że spokojna, pogodna atmosfera szczerzej wsi, poparta urokami polskiej jesieni — wywrze wpływ błogosławiony na nadzarpnięty nerwostan kolegi.

Pierwsze dni pobytu w gościnnym, wygodnym, choć po kawalersku, urządzonym domu p. Ł. nie dały rezultatu. Jedliśmy dużo, pili jeszcze wię-

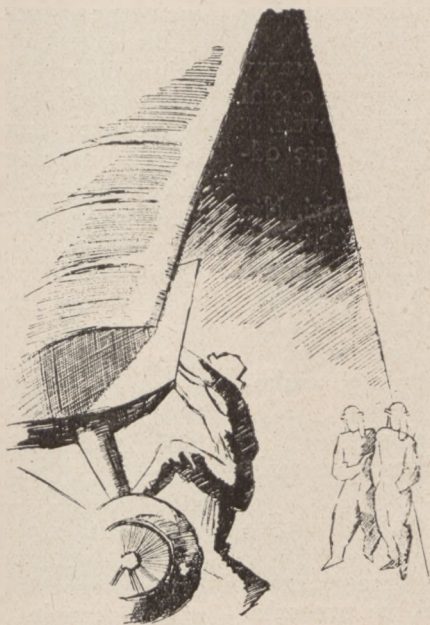
cej, czasem złożyła się partja brigitte'a, czasem małe polowanie. Pozatem, wylegiwaliśmy się, obłożeni pledami, na obszernym tarasie, skąd widok był ładny choć nieco melancholijny na rozległe łąki i rzekę, wijącą się fatalistycznie między kępami olszyn, w czarnych ramach trzciny i szuwarów.

Aż przyszedł wieczór kiedy zaczął rolowany obłok, cęglasty tuman zapamiętania, spowijający Rysia, pękł, jak stwardniała pokrywa lawy pod naporem bijących

w nią od wewnątrz ogni.

„Petroniusz” wogóle był tego dnia niezwykle ożywiony i kilka razy wspominał o tem, że tęskni za lotniskiem i że z chęcią poczułby ster aparatu między palcami.

Zachodzące słońce, rozlewając swoje po zrudziałyach łąkach purpurowe kaskady płynnego światła zasuwając się jęło za horyzont, nadając krajobrazowi niesamowity, fantastyczny wygląd. Gdzieś dały się posłownie kawki — i krzyki ich napel-



Obserwowaliśmy go tylko z pod oka...

niały powietrze niewypowiedzianym smutkiem i rytmem żalobnym.

Pan Ł. podniósł się.

— Przyniosę panom teraz smakowity domowy. Likier wyrobu mojej gospodyni. Palce lizać. Niech się schowają francuzi i holendrzy.

Ryś poruszył się niecierpliwie i spojrzął na mnie z pod oka.

— Mielicie mnie za warjata, co? — spytał wręcz.

— Dlaczego? — odparłem.

— No, nie udawaj. Jestem wam wdzięczny za samą delikatność. Ale już minęło. Niech djabli porwą! Musiałem mieć czas otrząsnąć się!

Obie dłonie przyłożył do twarzy i rzucił parę razy głową, jakby chciał odpędzić przykre i natrętne myśli.

— Nie myśl o tem i staraj się odpocząć.

— Głupstwo! Nie o to chodzi. Nie jestem zmęczony. Wiesz, co mi było? Byłem poprostu pod ogromnym wrażeniem strachu. Cały ten czas. Bałem się — i niewiedziałem jak od tego uciec! To nie jest stan miły!

Przyznam się, że byłem zaskoczony.

Bał się? On, Ryś, bał się?

— Czego? — zapytałem mimowoli.

— Ba! Opowiem ci.

— Ale to ci może zbyt wielką przykrość...

— Nie — przerwał energicznym ruchem ręki — mówię ci, że przeszło.

Niebardzo na to wyglądało. W oczach „Petronjusza“ latały dziwne błyski, zielone, żółte, skrzące, pryskające jak wrzący olej.

— Ja... może panom przeszkadzam? — zagadnął pan Ł., który nadszedł na koniec naszej rozmowy, dźwigając solidnych rozmiarów gąsior.. — Nie chciałbym, żeby...

— Ależ nie. Przeciwnie. Myślę, że zajmie pana to, co opowiem o mojej katastrofie.

Nadstawiłem ucha. „Petronjusz“ przemówił! Winszowałem sobie w duchu, że wpadł na pomysł tej wyprawy.

Ryś wypił trzy kieliszki owego likieru pod rząd. Mimo jego zapewnienia, znać było, że był podniecony i przejęty. Wymachiwał rękami i rzucał się niespokojnie na fotelu. O ile przedtem był małomówny, o tyle teraz mówić zaczął szybko, trochę bezładnie, jakby śpiesząc się, by dobrać czempredzej do tego, co umysł jego absorbowowało i nękało tyle czasu.

Słowa goniły słowa, zrywały mu się z warg, jakby targane porywczym wiatrem, niepokojące, niosąc w sobie coś drażniącego, niby małe, żywe, wcielone istotki strachu...

Blady księżyc wychylił się z poza zciemniałych łąk. Ostry, wilgotny wiew szedł od rzeki.

Wszyscy trzech mieliśmy w oczach wyraz niezdrowego podekscytowania i nastroj taki, jaki poprzedza seans spirytystyczny, gdzie za chwilę mają się ukazać zjawy i duchy. Opowieści o zdarzeniach w których główną rolę gra śmierć, są jakby bezpośrednim zbliżeniem do tej wielkiej, mrocznej tajemnicy, — mrozą mózg lodowatym tchnieniem grobu i ściskają serce podświadomym lękiem... Och, nie ręczyłbym zato, że wówczas, w myśl przysłowia: o wilku mowa — — śmierć wchodzi niewidzialna, zła, między rozmawiających i chłodne swoje palce, niby groźną przestrożę, kładzie na spotniałe skronie, ociera się ohydny bezmaterjalnym ciałem o piersi i skuwa je niewysłowionym uciskiem, bolesnym i dojmującym...

Zdaje się wtedy, że ciało nasze traci na wadze, że staje się eterem, nicością, że istnieje jedynie mózg, zawieszony w powietrzu, chłonący truciznę słów, z których każde jest jakby westchnieniem duchów, jakby powiewem z zimnych, nieznanych stref zaświata. Serce mdleje w obecności tajemnych, tętniących martwym życiem sił — i zostaje tylko myśl, fizycznie wyczuwalna, wystrzona jak koniec szpady, a czujna jak podrażniony łeb jadowitego węża.

— Żebyście panowie zrozumieli całą grozę położenia, muszę wam wyjaśnić, jakie stosunki łączyły mnie z Edmundem.

Był on moim przyjacielem od lat dziecinnych i człowiekiem, któremu bezwzględnie ufałem. Nie było ofiary, której bym dla niego nie poniósł. Kochałem go jak brata, i więcej niż brata. Znałem całe jego życie od a do zet.

Uwielbiałem go za jego talenty, za jego wzięcie się nieco kobiece, za miękki i delikatny charakter. Jak najczulsza matka trząsałem się o jego zdrowie, bardzo słabe zresztą bo zapadał często na płuca. Miał pozatem dziedziczną wadę serca. Wszyscy mężczyźni w jego rodzinie kończyli nagle. A jeszcze jego tryb życia... Typowy cygan. Noce spędzone przy stoliku w knajpie, w zaduchu skistych dymów tytoniowych, w wyziewach alkoholu. Życie zupełnie niezdiscyplinowane, pełne odruchów, wahań, zaszębień.

Aspiracje, które go zjadały formalnie. Nerwy, naciągnięte zawsze na stan hyperwrażliwości. Wpadał z nastroju w nastroj. Te ciągłe zmiany fatalnie odbijały się na wątłym chłopaku. No, jednym słowem kłębek nerwów.

Bywaliśmy razem na balach. Trząsałem się ze strachu, widząc, jak Edmund, rozbawiony, rozszczebiotany, rozanimowany, nagle bladł przeraźliwie i ręką chwycił za pierś. Haust zimnego wina i łyk świeżego powietrza przywracały mu równowagę, — śmiał się po chwili z mojej wystra-

szonej miny, a wówczas ja sam bliski byłem ataku.

Zakochał się. Znałem przedmiot jego miłości. Niechęć, i zresztą niema potrzeby, bym opowiadał co to była za kobieta. Była piękna. Edmund, jak twierdził, był z nią przez rok szczęśliwy. Ale mojem zdaniem, szczęście to było nad jego siły. Widywałem go w stanie upojenia takiego, iż zdawało się, że lada chwila, pod naporem potężnych sił, które kłębiły się tam, wewnątrz wątej



I chłodne swoje palce niby groźną przestroge...

klatki piersiowej, które spalały mu usta gorączkowym żarłem i buchały niesamowitemi ogniami z oczu, — że pod tem ciśnieniem — runie któregoś dnia i zginie, jak błyskawicznie ginie, niespodziewanie i raptownie, budowla długo trawiona wewnętrznym pożarem. Bałem się o jego biedne serce, chore teraz w dwojnásób.

I zarazem myślałem co będzie, gdy to minie. Wszystko mija więc i ta siełanka szalona... A Edmund żył tylko

nią. Z całą swoją porywcznością, zapalnością, entuzjazmem garnął się do tej kobiety i płonął poprostu w uniesieniach uczucia, jak ofiarny stos. Zatracił się, zapamiętał.

Widywałem go wówczas rzadko. Był ciągle w stanie najwyższego podniecenia, coraz bledszy i bledszy, oczy tylko gorzały niesamowiciej za każdym razem gdyśmy się spotykali.

Był szczęśliwy. Ale to szczęście właśnie, jak powiedziałem, — zbyt ostre, zbyt mocne, wyniszczało go powoli.

Nie krępowali się. Byli wszędzie razem. Ostrzegałem go nieraz, — ona była mężatką. Ludzie zaczęli o tem mówić.

I bomba pękła. Było, co być musiało — skandal.

Edmund wyglądał jak nieboszczyk.

Zastanawialiśmy dlaczego ona nie ucieka od męża, który ją wywiózł? Dlaczego nie idzie do tego, którego tak kochała?

Tembardziej, że mieli zamiar powiedzieć wszystko mężowi, — i pobrać się.

Na sądzie honorowym Edmundowi pokazano dokument: list jej do męża z prośbą o przebaczenie, w którym nazywała jego, Edmunda — idjota.

Kobieta była, no — wyrobiona. Tak zwany charakter.

Nie o to jednak chodzi. Ten list go dobił. Spędzałem z nim noce i dnie, bo chciał sobie odebrać życie. Ach — chciałem zabić ją, jego, siebie. Uciekał mi. Ale czuwałem.

Nikł w oczach. Za pierś chwytał coraz częściej — serce waliło mu

w żebrach, — nieposłuszne — niby obluźowany tłok w popsutej maszynie.

Wreszcie uspokoił się jako tako. Myślałem, że to koniec.

Zdecydował się na przejażdżkę po świecie. To zawsze znakomicie robi na podobne historie. Pojechał, a ja odetchnąłem, — Edek był uratowany.

A jakże! Po pół roku zjawił się kiedyś u mnie na lotnisku, w hangarze. Przeraziłem się. Wyglądał prosto jak maska, maska ulepiona ze świeżej ziemi.

Na moje zdumione spojrzenie machnął beznadziejnie ręką.

— Ot, głupstwo. Chodź, pójdziemy gdzieś wieczorem.

Nie mówił nic.

Siedliśmy w Bristolu przy kolacji. Pił, pił dużo.

Wreszcie zwrócił na mnie oczy, oczy, których spojrzenia znieść nie mogłem. Patrzyło przez nie zmęczenie, zmęczenie tak okropne, że serce marło na myśl o tem co się złożyć musiało na ten wyraz unicestwiającego bólu.

— Słuchaj, — czy nie wiesz, co się z nią dzieje?

Podskoczyłem na krześle z irytacji.

— Oszalałeś, czy co? Jeszcze?

Uśmiechnął się błado. Bezradnie wzruszył ramionami.

— Cóż robić. Kocham ją. Mimo wszystko. Starałem się zapomnieć. Zjeździłem pół świata. Miałem kobiety. Różne. Piękne. To nie to. Zresztą to są rzeczy pogrzebane, wiem o tem, No więc cóż? Kocham rzeczy pogrzebane.

Niechcę nic żywego, nic nowego. Więc nie wiesz?

— Nic.

Znów się uśmiechnął.

— Słuchaj stary, jestem obrzydliwa, egoistyczna świnią. Nie zapytałem nawet co z tobą się dzieje. Ale wyglądasz tak pysznie...

— Ach, nic nowego. Latam, i koniec.

Edmund nagle się ożywił.

— Ach, tak. I ja latałem. Z Londynu do Paryża. Potem do Kairu. To świetne wrażenia. Dość silne. Muszę



Przestraszyłem się gdy go zobaczyłem...



Nie sposób ugnąć się z tego kołasku wdm...

No więc — jest to jakby delikatne kołysanie się w powodzi roztopionej zieleni, skropionej srebrem. Mistyczny blask księżyca nadaje tajemniczy, senny urok. Gdyby to można porównać do działania jakiegoś mocnego, a rozkosznego i zarazem przejmującego narkotyku, toby było, — mniej więcej. Taka huśtawka, zrobiona ze

w górze ma w sobie coś z cmentarza. Tylko że — jeśli w dole umarli znajdują się pod ziemią, tutaj — jak w olbrzymiej, wielopiętrowej, przezrystej i niematerialnej katakumbie — są wszędzie. Nie sposób wyrwać się z tego kołaska WIDM, które i są, i których zarazem niema w perłowych tęczach księżyca. A lot



Runął wprzód twarzą na koło kierownicze...

snu, podróż w abstrakcji, LOT W ZAŚWIATACH.

Powietrze raz ściele się pustką głęboką, w której tylko stoją nieruchome istnienia księżyca, jak zakrzepłe w lód światła, to wypełnia się tłumem istot niewidzialnych, drobnych, dziwnych i obcych. Gdyby lotnik był psem, przepraszam za porównanie, musiałyby mu stanąć sierść na grzbiecie. Powietrze, w nocy, tam

wówczas staje się pewnego rodzaju ucieczką, ucieczką bez celu. I rozkoszą... bo jest to granica strachu.

GRANICA STRACHU — ten moment, który poprzedza zawsze strach, sam strach bezpośrednio.

Ach! Oto wypadamy z tłumy widm w błyszczącą jak ponury dżet — pustkę, — oto wspinamy się po promieniu srebrnego księżyca, — i znów zawierucha, zawieja widm

i zjaw. Wyteża się bezskutecznie oko, chce coś zobaczyć, coś schwycić na soczewkę wzroku, napróżno! Tylko nastrój, tylko potężna przesterzeń drgająca echem mrocznych, wilgotnych kościołów i zapachem grobu! Białe skrzydła aeroplanu migają mi — raz na prawo, raz na lewo, zależnie od tego, jak pochylam aparat w stosunku do światła, — widmowo, niby skrzydła białego anioła śmierci.

Chciałem sprawić przyjemność Edmundowi, chciałem by nim coś wstrząsnęło, by coś mocnym pchnięciem wrażenia zrzuciło zeń odurzający ciężar.

Leciałem „barokowo“ w wymyślnych skrętach i spowinięciach, windując aparat w schodach do góry, to spiralami spadając ku dołowi. Tańczyłem jakby walca w powietrzu, i taniec mój, czułem to dobrze, złożył piękne zaokrąglone linje w tłumie widm niewidzialnych.

Wtem...

Twarz „Petronjusza“ zmierzchła. Skurcz strachu ściągnął mu twarz w dziwaczny grymas. Zęby szczęknęły lekko, — może z chłodu.

Wtem, przy jakimś wirażu uczułem, że Edmund kładzie się na mnie prosto i obejmuje mi szyję rękami. Entuzjazm nie na miejscu! Odepchnąłem go zlekka, zniecierpliwiony, — wiraż wzięty przezemnie był ostry i łatwo mogliśmy zwinąć się na skrzydło. Ale on znów mnie objął.

Zrobiło mi się głupio. Ujęcie jego ramion było dziwnie omdłałe, bezwolne, niemocne. Napierał na mój bok całym ciężarem ciała, ciężarem, który wydał mi się zawielki. Dłonie dziwnie bełtały się, zwieszona z zaruconych na mą szyję ramion...

Kolosalny, kościsty, lodowaty strach zmroził mi palce.

Zwolna spojrzałem przez ramię.

Ach! zobaczyłem! Zobaczyłem NIEWIDZIALNE WIDMO! Ale jak straszne! Jak okropne!

To była jego twarz, Edmunda. Zielona, z wygłębionymi przez blask księżycy oczodołami, na dnie których matowo błyszcząły białka oczu wywróconych do wewnątrz. Przeróżliwy uśmiech zastygł na pobielających wargach, że zdawały się być bielsze od policzków. Zęby szczyrzyły się, obnażone po dziąsła. I cała ta głowa, głowa koszmaru, głowa zjawy, chwiała się na wąskiej szyi pozabawionej prężności, — jak na nikłym sznurku. Przewalała się z ramienia na ramię niby potworna maska pajaca. Zwierzęcy powrzask strachu zerwał mi się z warg, zagłuszając turkot maszyny...

Jednocześnie myśl pracowała precyzyjnie. Odrazu zdałem sobie sprawę z tego, co zaszło. Udar serca! Edmund dostał ataku serca. Na mojej szyi zawisł trup, jeszcze ciepły, trup przyjaciela!

I ja sam, na samolocie, z trupem, pośród tego powietrznego cementarza, pełnego widm, zalanego mdłym blaskiem księżycy!

Rozpaczliwym ruchem odrzuciłem ciało na siedzenie.

I teraz się stało najgorsze.

Pchnięcie było zasilne. Trup odbił się o brzeg kabiny, o oparcie siodełka i runął naprzód, twarzą na koło kierownicze steru, drugiego steru. Ręce zwisły wdół, i zapłatały się w druty. Ster przestał działać. Czują dotąd dźwignia zamarła mi w rękach. Aparat tracił równowagę. Nie puszczając lewą ręką kierownika, prawą zacząłem szamotać się z umarłym. Na nic! Te bezwładne ramiona utkwiły gdzieś między drutami tak mocno, że niesposób było je stamtąd wydostać. I nie było na to czasu... Aparat przechylił się, drgnął,

podskoczył, zatoczył i nie bacząc na moje rozpaczliwe próby opanowania nanowo sparaliżowanego steru, — spadał.

W tych chwilach przeżyłem drugie życie...

Motor, ciągle idąc, warczał i chrapał okropnie, — pęd na dół zwiększał

się z każdą sekunda — — — Odruchowo wychyliłem się na lewo, by zważyć na skrzydło, i naprzód, by przy uderzeniu o ziemię uchronić się od dźwigni steru, bo niechybnie przebiłaby mnie na wylot — —

Wtedy straciłem przytomność!
Resztę zaś wiecie.



Pęd na dół zwiększał się z każdą chwilą...

M a d r o ś ć D e d a l a

napisał profesor Uniwersytetu Tadeusz Zieliński

Minos był synem Zeusa i owej fenicjanki Europy, którą cudowny byk przeniósł był z ojczyzny na bardzo dziką jeszcze podówczas wyspę. Dziką a przecież świętą: tam to sam Zeus wychował się w jaskini Dyktejskiej góry, tam to żyli potomkowie ludzi, którzy zabawili swojemi płasami jego dziecięce oczy. Żyli, ale jak? Na wzór dzikich chronili się po pieczarach i łogowiskach swoich dziewiczych cyprysowych lasów. W tym samym czasie, kiedy w macierzystej Helladzie wyrastało miasto po mieście, ustalał się obywatelski tryb życia, zaczęto przestrzegać prawa własności — tu, na Krecie, panowała jeszcze przemoc silniejszego nad słabym, nikomu nie było zabezpieczone to, co zdobył za cenę swojej ciężkiej pracy.

Minos, dorósłszy, postanowił położyć kres podobnym warunkom. Wszedł na górę Dyktejską, zapuścił się do jej groty i w gorącej modlitwie błagał ojca swojego, aby zechciał zstąpić ku niemu. I Zeus usłuchał jego modłów. W ciągu dziewięciu lat zstępował do groty, która była świadkiem jego dzieciństwa, a kiedy, po upływie tych lat dziewięciu, Minos grotę opuścił, unosił ze sobą dziewięć tablic spisanych praw, pierwszych praw, jakie kiedykolwiek spisane były w Helladzie. I pamięć potomnych rozstawiła prawodawcę Minosa, „dziewięcioletniego rozmówcę wielkiego Zeusa”.

Wyszedłszy z jaskini Minos jął zwoływać zgromadzenia ludzi i pytać się, czy zechcą poddać się prawom, jakie nadał jego ojciec Zeus. Cuda i znaki szczególne towarzyszyły jego zjawieniu się, jasność okoliła mu głowę, kiedy przemawiał do na-

rodu. Wszyscy zgodzili się. On zebrał lud z rozsyпки i rozproszenia, osadził go po miastach, doradził mu wybrać mężów zacnych, aby piastowali nad nimi władzę, tym zaś, przez lud wybranym orzekł, aby odtąd rozkazywali ludowi, ale nie wedle własnej zachcianki, lecz w imię i wedle powagi prawa. Sto miast wyrosło na wielkiej i błogosławionej wyspie, jedno z nich, Knossos, sam Minos wybrał sobie na siedzibę. Cyprysy, w które tak opływała Kreta, poszły na budowę okrętów; niebawem i pozostała Hellada poznała siłę kreteńskiego królestwa. Świetne małżeństwo dopełniło szczęścia i majestatu życia Minosa: dana mu była za żonę Pasyfaja, córka Słońca.

I tu okazało się jednak, że nadmiar szczęścia przechodzi siły istoty śmiertelnej. Minos wrósł w pychę, mniemając się równym już nie ludziom, ale bogom. Żadna woła ujarzmiła w nim jasny rozum. Prawodawca dla drugich, postawił sobie jako prawo własną samowolę. Wtedy Zeus zesłał mu straszne ostrzeżenie: po kilku przesłicznych dzieciach urodził mu się potwór o ciele człowieczem, ale z głową byka. Po jego przyjściu na świat rozniosły się wśród ludu najdziwaczniejsze plotki, których nie będą powtarzał, sprawa i tak jest dla nas jasna. Byczy łeb na ludzkim ciele — oto prawdziwy obraz tego, kto zwierzęcą samowolę uczynił głową swojej istoty.

Ale co było robić? Potworów odbierały rodzicom władze, aby niezwłocznie śmiercią położyć kres ich nieszczęsnemu istnieniu — o ile który nie umierał sam z siebie. Nad Minosem władzy nie było — sam nie mógł uśmiercić stworzenia, które

bądź co bądź było jego synem. A umierać potwór jakoś wcale nie myślał, przeciwnie rósł, olbrzymiał, siły się stawał potężnej. Gardził strawą roślinną, a nad mięsną jakąbądź przekładał ludzką. Razem z nim rósł i wstyd jego rodziców. Ukryćby go pragnęli, jeśli już inaczej nie można, aby przynajmniej ludzi w oczy nie kłuł ten „Minotauros“, „byk Minosa“, jak przewalali kreteńscycy odrażającą latorośl królewską. Ukryć, dobrze, ale w jaki sposób?

Z takim pytaniem zwrócił się Minos do człowieka, który niejednokrotnie bywał gościem na jego dworze — do Dedala.

Dedalos był Ateńczykiem. Na Akropolu wybudował sobie pracownię i w niej poświęcał się rzeźbienniu. Umieli już ludzie i przed nim lepić czy kuć posągi, ale były to niby pnie na nogach, jakgdyby zrośniętych ze sobą. Dedalos pierwszy wlał nieco życia w swoje rzeźby przez to, że rozsunął nogi jedną od drugiej. My nie widzielibyśmy w tem nic nadzwyczajnego, ale na owe czasy oznaczało to już bardzo duży postęp i ateńczycy z zachwytem mówili o swoim mistrzu, że tworzy posągi „chodzące“, a nawet „uciekające“.

Z pomiędzy jego uczniów najzdolniejszy był jego rodzony siostrzeniec. Początkowo radował się mistrz postępami okazywanymi przez młodzieńca, ale potem zaczął spoglądać nań z zawiścią, tembardziej, że i tamten zhardział i z lekceważeniem jął traktować swojego wuja. Często wynikały pomiędzy nimi kłótnie — i oto w czasie takiej utarczki Dedalos chwycił siostrzeńca i strącił ze skały akropoliskiej. Młodzieniec wyzionął ducha, a na Dedalu zaciężyła odciążą zgora przelanej krwi — musiał opuścić Ateny i udać się na Kretę, do Minosa, który i oczyścił go i ożenił z kretenką. Wkrótce urodził im się syn — Ikar.

Do Dedala więc zwrócił się teraz Minos z żądaniem, aby mu wystawił

osobny dom dla Minotaura. Rzeźbiarz spełnił życzenie królewskie. W nowym gmachu środkowe pomieszczenie było właśnie mieszkaniem potwora, ale prowadzące do niego korytarze zbudowane były z takim obliczeniem, żeby człowiek z nich z konieczności wpadał do środkowej komnaty, jednak gdy raz się tam dostał, w żaden sposób nie mógł już trafić napowrót do drzwi wejściowych. Teraz cel rodziców został osiągnięty. Minotaurus był ukryty, a pożywienie miał zapewnione. Brama labiryntu — tak nazywał się „dom błędzeń“ była przez cały czas otwarta. Ciekawych, rzecz zrozumiała, nie brakowało, wchodząc, wpadali w paszczę straszdyła, a jeżeli nawet komu udawało się przed nim ocalić, to zawsze jeszcze nie mógł wydobyć się z gmachu i opowiedzieć ludziom o jego okropnościach. Umierał z głodu w krętych, mrocznych korytarzach.

Minęło dużo lat. Żona Dedala umarła, syn jego Ikar dorósł. Dojść do ładu z Minosem było coraz trudniej. Zawsze był rozkazujący, bezwzględny, a na starość ucieczka córki — Arjadny uczyniła go jeszcze bardziej ponurym i niedostępnym. Dedalos prosił, aby mu pozwolono oddalić się z Krety, ale Minos ani słyszeć o tem nie chciał. Artysta był mu potrzebny; to też surowo zakazał swoim poddanym przyjmować go u siebie, a tem mniej przewieźć dokądkolwiek na okręcie. I zobaczył Dedalos, że całe życie będzie musiał spędzić na nienawistnej mu już dzisiaj wyspie. Często stawał na brzegu morza i zazdrościł obłokom niebieskim, że mogą swobodnie płynąć po jasnym błękitcie, zazdrościł ptakom skrzydlatym, że mogą zerwać się z wyspy i polecieć, gdzie im wola.

Tak, ptak może, a człowiek nie może. Dlaczego to tak? Przyroda nie dała mu ptasich skrzydeł. To i co z tego? Nie dała mu także kosmatej skóry zwierzęcia, aby chronił się przed chłodem, — a oto zrobił sobie

okrycie. Nie dała mu ostrych szponów, aby bronić się od wroga—a oto wykuł sobie miecz. Dlaczego by nie miał sporządzić sobie skrzydeł? I zaczął artysta marzyć a marzyć, zaczął pracować a pracować, aż domarzył się i dopracował tego, z czem tyle szczęścia wiązała jego dusza. Nie mała namarnował i piór i wosku, nie mała innych rzeczy, ale cel swój osiągnął i dwie pary ogromnych skrzydeł zawaliły połowę niedostępnej pracowni. Rozumie się, że aby się niemi posługiwać, trzeba było nie byle jakiej siły, ale ludzie wówczas nie byli takimi mizerakami jak dzisiaj.

Jeszcze przed świtem przydzwigali obaj z Ikarzem skrzydła na brzeg morski i tam dopiero przypasali je do barków.

„Idź za moim wzorem, synu — pouczaj starzec młodzieniaszka — bacz, abyś nie niósł się za nisko, bo ci pióra ociążają od wilgoci morskiej, ale nie wznies się za wysoko, bo słońce roztopi na nich wosk. Pośrednia droga, jak wszędzie, tak i tutaj najbardziej wskazana”.

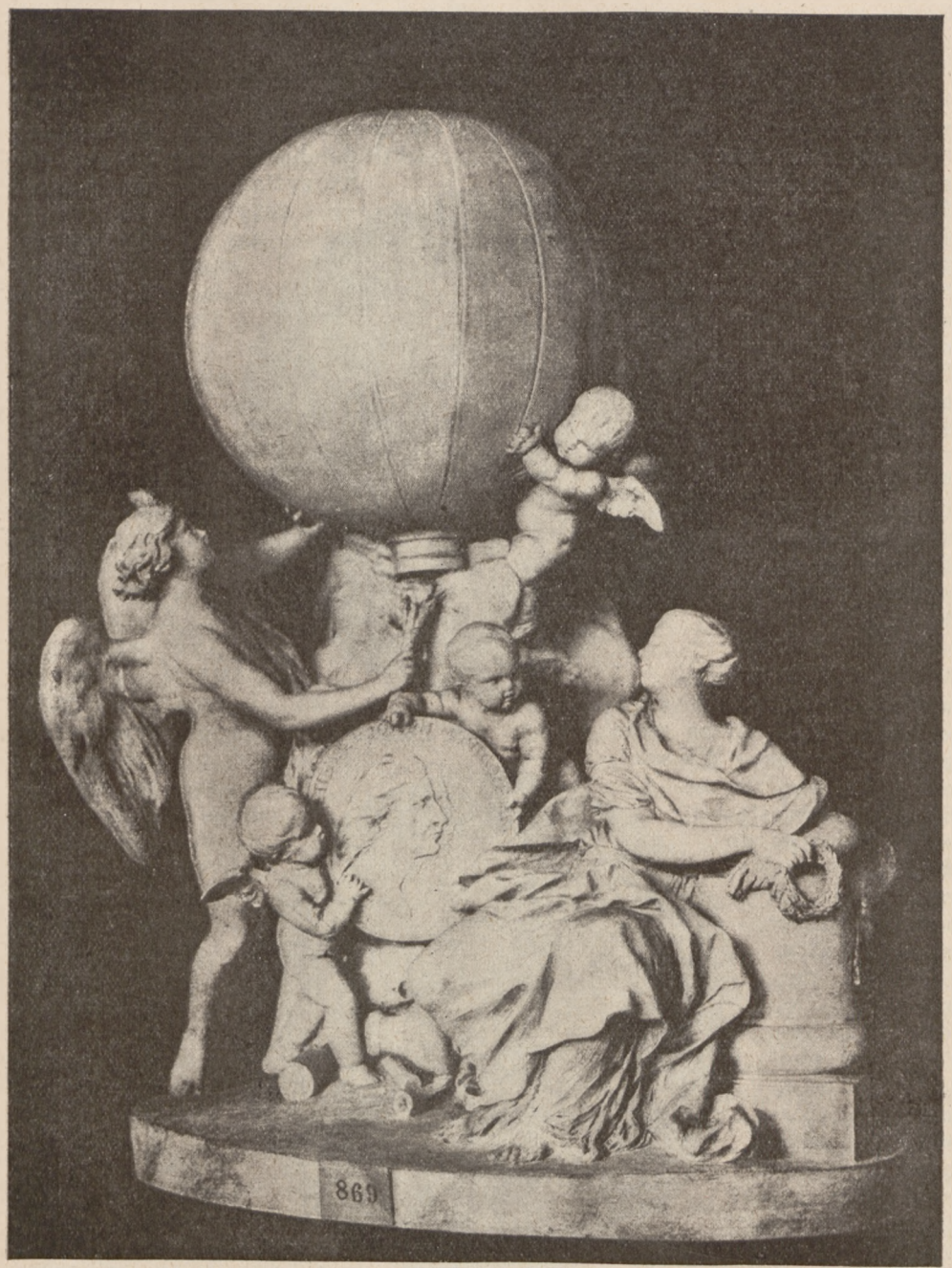
Wzbili się i poczęli lecieć na zachód, ciągle na zachód. Z początku wszystko szło doskonale. Ptaki dziwowały się nowym towarzyszom, delfiny wysuwały śpiczaste łby z morskiej głębin — Dedal im dalej leciał, tem bardziej radował się swo-

im wynalazkiem. Na zachód, ciągle na zachód! Ale Ikarowi, który początkowo przestrzegał napomnień ojca, powoli ciężyć zaczęła taka ostrożność. Młodość wogóle rzadko kiedy rozumie korzyści i mądrość drogi pośredniej. Tam na wysokościach i powietrze było przejrzystsze i słońce świeciło promiennie, miło mu było porwać się w zawody z szybującymi orłami i białymi żaglami obłoków. I stało się to, co przewidywał ojciec. Wosk jego piór roztopił się od nazbyt rozpalonych promieni, pióra rozsypały się i biedny Ikar stoczył się, jak błyskawica w otchłań morską.

Dedalos sam jeden doleciał do wybrzeży sycylijskich. Pierwszym jego czynem było usypanie mogiły dla zaginionego w morzu syna, aby dusza jego posiadała przystań na ziemi. Zawsze czynili tak helleni dla ludzi, których zabrało morze, a takie nuste mogiły nazywały się „cenotafja”. Na cenotafjum dla Ikara ojciec wybrał miejsce u stóp wysokiego cyprysa, do niego przywiązał swoje skrzydła, poświęcając je tej, która mu dała natchnienie — Palladzie...

„Oto dla was, śmiertelni, przykład i bodziec: źródło twórczej tęsknoty. Nie mała wieków się przetoczy, nie mała Ikarów zaginie, zanim szlaki powietrzne otworzą się przed wami!”





*Projekt pomnika na cześć braci Montgolfier,
który miał stanąć sumptem Ludwika XVI*

Lotnictwo balonowe w dawnej Polsce

napisał Aleksander Kraushar

Korzystając przed kilkunastu laty z udzielonego mi przez b. władze rosyjskie prawa korzystania z materiałów źródłowych, przechowywanych w archiwum b. Namiestnictwa w pałacu Radziwiłłowskim (obecnie Rady Ministrów), natrafiłem w aktach Rządu Narodowego z roku 1831 (Nr. 103. Sekcja V, numer Vol. 49) na raport Ministra Wojny, generała Morawskiego, złożony ówczesnemu Rządowi

w dniu 28 marca 1831 za Nr. 3622,773 w sprawie projektowanego przez przebywającego podówczas w Warszawie aeronautę francuskiego Garnerina stosowania balonów do obserwacji ruchu wojsk nieprzyjacielskich zagrażających stolicy.

Osnowa pomienionego raportu i szczegóły w nim przytoczone, dotyczące rozwoju aeronautyki, zachęciły mnie do badań nad przeszłością tej gałęzi wiedzy i jej wyników w kraju naszym. Z rezultatów owych poszukiwań i z nagromadzonych w tej materji poszukiwań zdałem

swego czasu sprawę w ogłoszonym w jednym z czasopism miejscowych artykule historyczno-literackim.

Korzystam obecnie z ważniejszych jego informacji, w celu stwierdzenia, iż w dziejach lotnictwa balonowego, którego inicjatorem we Francji na schyłku XVIII wieku byli Montgolfier, Blanchard i rodzina Garnerinów, zajmowała Polska niepodrzędne miejsce, że nawet już w XVII wieku, za panowania Władysława VI, znalazł się śmia-
łek, któremu się szczęśliwie udało próba wzlotu w powietrze na zbudowanej przezeń machinie.

Owym śmiałkiem był Łukasz Piotrowski, profesor i prokurator akademji krakowskiej, zmarły w roku 1679, szlachcic podlaski, „pisarz sławny gramatyki łacińskiej”, autor wielu dialogów, któremi bawił króla, a który, podczas przedstawienia jednego z dialogów w teatrze krakowskim „przez dach Nowodworskiej bursy, z przedmieścia, Retoryką zwa-



Medal pamiątkowy wybitu z powodu wzlotu Jana Piotra Blancharda w Warszawie.
Ze zb. Muz. Nar. w Warszawie

nego, na teatrum przyleciał i po odprawionej scenie, z teatru na swoje odleciał miejsce". (F. M. Sobieszczański: „Encyklop. Orgelbranda“ T. I, str. 154, wyd. z r. 1859).

Dopiero w stokilkadziesiąt lat później za Stanisława Augusta, rozpoczęły się w Polsce częstsze próby z balonami Montgolfiera, napełnionymi wodorem.

W roku 1786 — jak notuje Magier w swojej rękopiśmiennej „Estetyce Warszawy“ (Bibl. Ordyn. Zamoy-skich) — Okraszewski, chemik królewski, odważył się na wzlot balonem kitajkowym z tarasu Zamku Królewskiego w Warszawie i pomyślnie opuścił się na ziemię pod Okuniewem.

Po nim próbował szczęścia we wzlotach balonem kilkakrotnie ławnik miejski, Jan Gidelski.

W roku 1790 przybył do Warszawy słynny żeglarz powietrzny, Blanchard, i przedstawivszy zgromadzonej w sali pałacu Radziwiłłowskiego publiczności balon ze spadochronem, zapowiedział swój wzlot na dzień 18 maja t. r., lecz rosa uszkodziła powłokę balonu i zapowiedź spełzła na niczem. Powtórnie zatem, przyzwawszy do pomocy w napełnianiu balonu wodorem młodzież aptekarską, puścił się Blanchard pod obłoki z ogrodu Foxalowego, dawniej bankiera Kabryta, na Nowym Świecie z pod Nr. 1297 i, wraz z pieskiem do spadochronu przywiązany, spadł pod Jabłonką. Po raz trzeci w tymże roku 1790 odbył się popis Blancharda w ogrodzie pałacu Mniszchowskiego (dziś Resursy Kupieckiej przy ul. Senatorskiej). Towarzyszyli Blanchardowi w owym wzlocie: sławny uczoney Jan Potocki z wiernym swoim Turkiem i białym pudlem. Aeronauci spadli pomyślnie pod Wolą. Król Stanisław August tak był uradowany z rezultatu owego wzlotu, że na pamiątkę kazał wybić medal z popiersiem Blancharda i ze stosownym napisem.

14 września 1800 r. Jan August Kaizer, stolarz i mechanik, obwieścił, że „puści pod obłoki niewiastę z błonek zwierzęcych uklejoną, na sposób figur przez Enxlena w roku 1794 okazywanych“. Lecz figurę niewiasty przeżyzył kwas siarczany, do wytworzenia wodoru użyty i skończyło się na szumnej zapowiedzi wzlotu.

W roku 1806 Jordaki Kupareńko, mofdawianin, znowu próbował wzlotu balonem na Foxalu. Fajerka z węglem do balonu przyczepiona, spowodowała roztopienie się żywicy, która na głowę aeronauty kroplami gorącymi spadając, zmusiła go do szybkiego otwarcia kłapy balonowej i do opuszczenia się na ziemię. Odbyło się ono w ogrodzie pałacu Nr. 411 na Krakowskiem Przedmieściu.

W czasie wojny austriackiej 1809 roku lotnik Robertson dał parę widowisk lotniczych w „Theatre pittoresque“ pałacu Prymasowskiego. Następnie, 25 czerwca t. r., wznosił się balonem z Foxalu „na cześć mężnych Polaków“.

Po nim fiancuz Lenoir w pałacu Dyzmańskich, dawniej „pod filarami“ (już usuniętymi) na ulicy Miodowej okazywał publiczności orła białego papierowego który, napełniony wodorem, nie dał się, mimo wysiłków lotnika, unieść w powietrze.

Takiej nieudanej próby doznał aeronauta Michaux w roku 1816, a gdy ponownie zapowiedział wzlot swój na 2 czerwca 1816 r. z „Saskiego dziedzica“ (gdzie dziś burzą sobór), Wielki książę Konstanty zabronił owej karkołomnej ekskursji.

Pomyślniej poszło Richardowi z Drezna, który dwukrotnie wzlatywał z Foxalu. Pierwszym razem spadł w Kobylkach pod Warszawą, drugim razem — w ogrodzie Frascati.

Po kilkunastu latach przerwy w popisach balonowych, niespodziewanie na bruku Warszawy w lutym 1831 roku, w czasie pierwszych bojów powstania listopadowego z armją rosyjską, pojawiła się rodzina aeronautów

francuskich, Garnerinów, złożona z ojca Jana, jego żony i córki Elizy. Zwrócili się ci lotnicy do Rządu Narodowego z propozycją przyjęcia ich usług w sprawie obserwowania z balonu armii nieprzyjacielskiej.

Panna Eliza Garnerin była już wówczas znakomitością europejską. Pochodziła z rodu owych Garnerinów, co to upamiętnili się w dziejach wielkiej rewolucji francuskiej udziałem czynnym a skutecznym w bitwie pod Fleurus (16 czerwca 1694 r.), gdzie austriacy pod wodzą Koburga poważnej od armii generała Jourdana doznali porażki. Wówczas to, dzięki obserwacjom balonowym stryja panny Elizy, Jana Chrzyciela Garnerina, można było zaobserwować rozlokowanie austriackich oddziałów i zasachowających obroty skuteczną sygnalizacją.

Rezultaty owej bitwy stały się dla brata Jana Chrzyciela Garnerina i córki jego Elizy podniętą do narzucania się władzom francuskim z gotowością świadczenia stałych usług armji. W rzeczy samej, pomysł spadochronu zawdzięcza swój początek Garnerinowi. Pierwszej z nim próby dokonała panna Eliza w roku 1815, opuściwszy się w Paryżu z Tivoli ba-

lonem w powietrze i opuściwszy się bez szwanku na ziemię przy pomocy parasola.

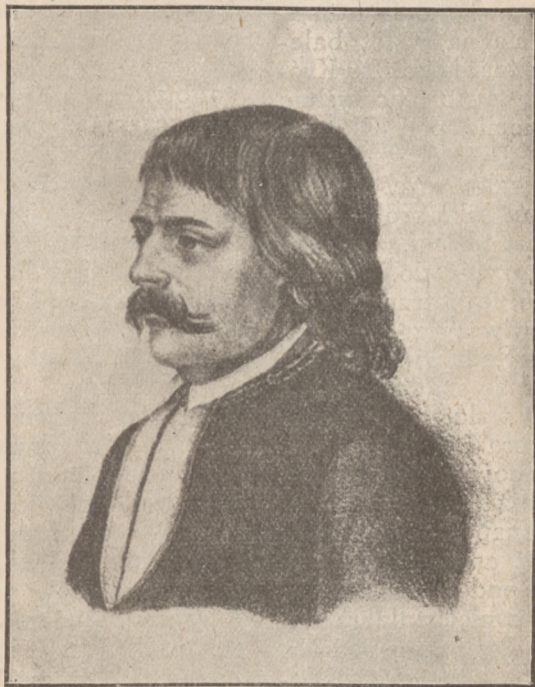
Oto opis owego wzlotu, podany swoistym stylem owoczesnym gazeciarskim w „Kurjerze Warszawskim” z roku 1832 (Nr. 251).

„...Odcięła panna Eliza fatalny sznurek, do którego jej życie było przywiązane. Wtem, spadochron się rozwija, otchłań się zam-
myka, a śmiała żeglarka pobujawszy lekko w obłokach, spuszcza się z wolna, jakby od niechcenia, na ziemię, do której ją wzywały serca obecnych, wywdzięczających się za ten prze-
rażający, a zarazem wspaniały widok...”

Owa to rodzina znalazła się nadspodziewanie w czasie kampanji prowadzonej w roku 1831 przez armję wojska narodowego z najeźdźcami,

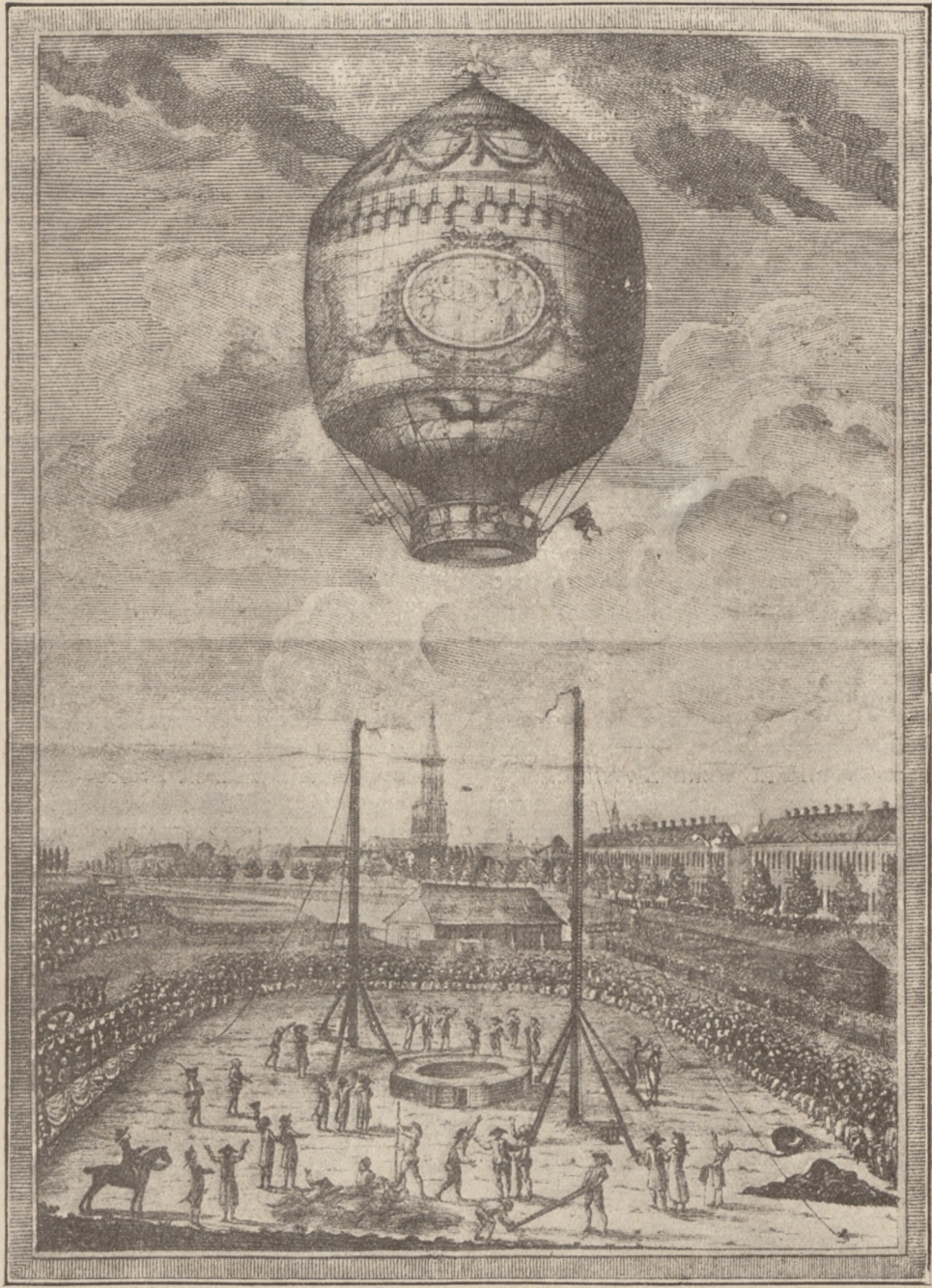
wśród wydarzeń wykluczających myśl, iż cudzoziemskim lotnikom chodziło o rozrywkę warszawian i skierowanie ich wzroku ku obłocznym przestworzom.

Dokumenty archiwalne, które tu będą przytoczone, uchylą rąbka owej tajemniczej wizyty. Zaznaczyć należy, iż propagatorem projektów aeronautycznych Garnerinów był w War-



Jan Potocki

*słynny podróżnik z XVIII wieku który wraz z Blanchardem
wzbił się w powietrze*



Wzlot 'Pierre'a i Degabriela na balonie systemu Montgolfiere w Strasburgu (1784)

szawie stary emigrant, francuz, baron Galichet. On to, za pośrednictwem barona Mohrenheima, zaczął jeszcze przed rewolucją listopadową kołatać do Belwederu, by wyjednać od Wielkiego Księcia pozwolenie na sprowadzenie Garnerinów do Warszawy i o spożytkowanie ich specjalności dla potrzeb armii. Wielki Książę zachody owe pozostawił bez odpowiedzi.

Pomyślniejszem było zwrócenie się barona Galicheta, już po wybuchu powstania listopadowego, do Naczelnego Wodza, następcy generała Chłopickiego, księcia Radziwiłła. W miesiącu lutym 1831 r. przybyli Garnerinowie do Warszawy, otrzymawszy pieniądze na ów przyjazd zapo-



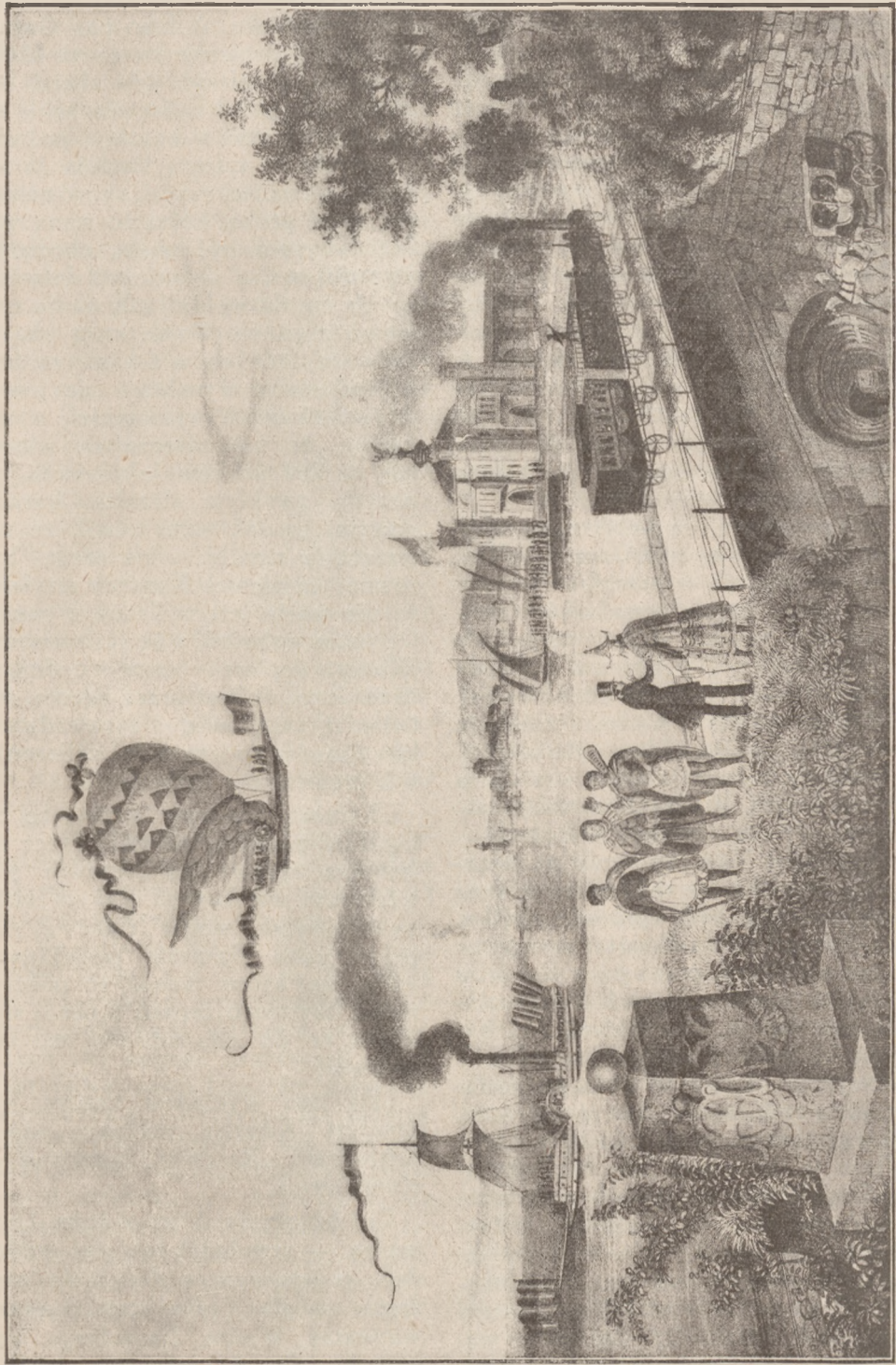
O przebiegu sprawy Garnerinów i o pretensjach, jakie sobie z powodu swego przybycia do Warszawy i nieprzyjęcia ich projektów do zastosowania w boju rościć zaczęli, dowiadujemy się z raportu Ministra Wojny, złożonego Rządowi Narodowemu, o czem na wstępie do niniejszego artykułu wzmiankowałem.

„Rozkazem swoim z dnia 26 marca r. b. Nr. 3530 — czytamy w owym raporcie — polecił Rząd Narodowy komisji rządowej wojny zdać sobie opinię w przedmiocie podania pana Garnerin, który utrzymuje, że na wezwanie Rządu przybył do Warszawy celem ofiarowania balonu swego na obserwowanie pozycyji nieprzyjacielskiej, jak to pod Fleurus już przez Francuzów użyte było i użala się, że z licznych przez niego proponowanych wynalazków, nader użytecznych dla wojska, jeden tylko, dotyczący się rac, kulami karabinowemi strzelających, zrazu wzięty był pod rozważę, później zarzucony; nareszcie domaga się zapłacenia sobie kosztów podróży w ilości 3000 franków.

Komisja Rządowa wojny ma za-

szczyt przełożyć Rządowi Narodowemu cały stan interesu p. Garnerina, taki, jak mogła o nim powziąć wiadomości z źródeł prywatnych i z korespondencji urzędowych. „Pan Garnerin miał od kilku miesięcy zamiar przybycia do Warszawy. Prosił o pozwolenie przybycia Wielkiego Księcia Konstantego, które mu zostały odmówione. Nie spodziewając się tego odmówienia, wysłał już był pan Garnerin swój balon na Kraków do Warszawy, gdzie takowy, tak za kosztą podróży, jak i za inne pretensje kupca do pana Garnerina za 800 złp. był zastawiony. Pan Garnerin pisał znów do swoich współziomków w Warszawie z zapytaniem, czyliby nie było dla niego widoku przyjechać do Warszawy? Było to w początkach lutego. Wyjeżdżał właśnie wtedy w zleceniach Banku kupiec Jaqueson do Hamburga i Londynu. Wtedy właśnie niejaki pan baron Galichet, francuz, naturalizowany w kraju, który był przytomny na batalji w Fleurus, napisał rozprawę o użytkach, jakiby mogło mieć użycie balonu w czasie bitwy, pod względem łatwości poznania ruchów nieprzyjaciela, przygotowanych zasadzek i ilości rezerw. Opierał się przytem na wrażeniu, jakie to poruszenie balonu sprawiło na Austryjakach, czego sam był świadkiem i wnosił, że daleko mniej oświecone żołnierstwo rosyjskie mogłoby mocno takim zjawiskiem być przerażane.

„Rozprawę tę przesłał księciu Radziwiłłowi, który miał oświadczyć, że gdyby pan Garnerin tu był, toby można było co o tem mówić i, gdyby to niewielki koszt za sobą pociągnęło. O tej odpowiedzi księcia Naczelnego Wodza wspomniął pan Galichet panu Jaqueson, wyraźnie mu nadmienając, że sprowadzić Rząd pana Garnerin nie ma zamiaru, lecz, że gdyby tu był, możeby Rząd skłonił się wynagrodzić mu tysiąc franków za kosztą podróży i dać panu Garnerin ze 300 złp. na miesiąc za



Wszystko jest już możliwe...

Ze zbiorów Hieronima Wildera

Stara litografia wiedeńska

najem balonu i jego przy nim postu-
gę. Pan Jaqueson znalazł pana Gar-
nerin tak gotowego do przyjęcia
każdej propozycji, że nie mógł się
wymówić od udzielenia mu 2400 złp.
czyli około 1000 franków na koszta
podróży i 800 złp. potrzebne na wy-
kupienie balonu w Krakowie. Ale
pan Jaqueson nie miał do tego od
Rządu zlecenia. Zrobił to na własne
ryzyko. Pisze o tem do Prezesa
Banku, Jelskiego, prosząc, aby mu
ten wydatek był przyjętym. Widział
p. Jaqueson, jak się tłumaczy, wszel-
kiego rodzaju wysilenia, jakich w
obecnej chwili Rząd Narodowy nie
szczędzi i był przekonany, że ten
niewielki wydatek opłaci się przez
wrażenie, jakie ukazanie się balonu
zrobić może.

„Tymczasem, za przyjazdem swo-
im do Warszawy pan Garnerin o tem
wszystkiem nie wspominał, lecz po-
dał spis różnych wynalazków swo-
ich, dla wojska służyć mogących,
które Rządowi polskiemu za sumę
100.000 franków sprzedać ofiarował.
Komitet artylerji, któremu rzecz ta
do opinji została oddana, oświadczył:
1) Co do balonu, iż rzecz jest znana
i od decyzji Wodza Naczelnego za-
leży. 2) Inne rozmaite wynalazki —
oświadczył Komitet — są po więk-
szej części bardzo dobrze znane i nie
znajdował je być wielkiego użytku.
3) Zwrócił tylko Komitet uwagę na
race z tektury, przez pana Garnerin
projektowane, z których każda mia-
ła być zdolną 15 strzałami być na-
bitą i tak urządzone, że dowoli
wszystkie strzały od jednego pocią-
gnięcia razem, lub też pojedynczo,
każde osobno, strzelać będą w stanie.
Race te miały być dalej tak sporząd-
zone, iżby je na kosach przymoco-
wać można było i każdemu żołnie-
rzowi dać sajdak z czterema podob-
nemi racami, a tem sposobem opa-
trzyć go w 60 wystrzałów. Zażądał
przeto Komitet od p. Garnerina nie-
których objaśnień, które tak dwu-
znacznie i ogółowo dawał, iż Komii-

tet był powodowany mocne mieć
powątpiewanie o exystencji nawet
tego wynalazku. A lubo pan Garne-
rin później pretensje swoje na 43.000
franków ograniczył, gdy chciał ko-
niecznie naprzód zaliczenia sobie do
rąk 3.000 franków kosztów podróży
i złożenia 10 tysięcy franków w rę-
kę, dla pewności swojej, skoro pierw-
szą zrobi próbę, która to suma wy-
liczonaby mu być miała, chociażby
wypadki wojny dokończyć doświad-
czenia nie dozwoliły i gdy nadto roz-
mowa z panem Garnerinem okazy-
wała, że żadnych w tej mierze ten-
że mniemany wynalazca nie posia-
da technicznych wiadomości, a na-
koniec, że nie zaręcza za więcej,
jak za 200 kroków łokciowych, co
nazywa zwykłym strzałem karabi-
nowym, bo jak sam mówił, że nie
wszystkie strzały, sobie mogą być
równe: opinjował Komitet artylerji,
że nie warto jest w żadne z panem
Garnerin wchodzić o te race umowy.
Wtedy dopiero tenże podróżny
oświadczył, że jest przez agenta, jak
twierdzi, rządowego sprowadzony,
który mu na to konto dał zaliczenie,
o którym wyżej była mowa.

„Komisja rządowa wojny, co do
kosztów podróży, odesłała rzecz do
Ministra spraw zagranicznych pod
względem wojskowym zaś — mały
nader użytek mogąc robić z rac,
przez pana Garnerin projektowa-
nych, na które niema w obecnej
chwili zbytniego zapasu prochu, sto-
sowną co do tego udzieliła mu od-
powiedź.

„Po tym wykładzie rzeczy, ma
zaszczyt Komisja rządowa wojny
oświadczyć Rządowi Narodowemu
opinję swoją.

Co do użycia balonu pana Gar-
nerina — przedmiot ten pod wzglę-
dem wojskowym nader mało wa-
żnym, mógłby tylko na wyraźne
wezwanie Wodza Naczelnego być
użytym. Co do założenia fabryki
rac, kulami strzelających, polegając

na zdaniu biegłych, nie mogła wziąć Komisja na siebie, aby oderwać rzemieślników, widząc, że osoba ofiarująca wynalazek nie posiada istotnych w tej mierze wiadomości. Gdyby atoli podobało się Rządowi Narodowemu odłożyć koszta kilku tysięcy złotych, możnaby zrobić stosowną propozycję panu Garnerin, chociażby przyszło zaryzykować tę sumę, aby użyć wszystkich środków, jakie do obrony kraju mogą być następczone.

„Co do kosztów podróży i do wyjazdu pana Jaqueson, żadnego Komisja wojny nie miała udziału i nie ma więc prawa kosztów podróży panu Garnerin powracać, bez wyraźnego Rządu rozkazu.

„Minister wojny, **General M o r a w s k i**.

„Sekretarz generalny, **Z i e l i ń s k i**.

W kilka dni później, d. 2 kwietnia 1831 r. w dalszym ciągu raportu poprzedniego doniósł Minister wojny Rządowi, iż pan Garnerin zniżył pretensje swoje w sposób następujący: iż zażądał jedynie 3000 franków, tudzież złożenia 6000 franków wynagrodzenia, o ile wynalazek jego okaże się odpowiednim swemu przeznaczeniu.

W odpowiedzi na ów raport z zapytaniem o decyzję Rządu, znajduje się na marginesie rezolucja *b r e v i m a n u*, nakreślona w słowach:

„Na przedstawienie Komisji rządowej Wojny z d. 2 b. m. Nr. 19838 w przedmiocie wynagrodzeń żądanych przez pana Garnerin za wynalazek rac kulami strzelacych, Rząd Narodowy oświadcza, że uważając wynalazek p. Garnerin jako nateraz niepotrzebny, pierwsze zaś jego propozycje za bezproportjonalnie podane w stosunku do ostatnich i nie mając funduszu do szafunku na podobne niepewne przedmioty, do propozycji jego, o zapewnieniu mu wynagrodzeń, przychylić się nie może”.

Jeszcze powyższa rezolucja nie doszła była do rąk cudzoziemca, gdy 5 kwietnia 1831 r. wniesionem zostało do Rządu Narodowego podanie jego, datowane z ówczesnego Hotelu Europejskiego przy ulicy Miodowej (dziś pałac Arcybiskupi), szczegółowo wyjaśniając całkowity przebieg rokowań, podjętych ze strony osób, które się poczytywały za przedstawicieli władzy ówczesnej, by skłonić p. Garnerina do przybycia do Warszawy i do ofiarowania usług swoich na potrzeby wojenne.

Wskutek pozostawienia owego podania bez odpowiedzi, p. Garnerin nie ustawał w ciągu kilku miesięcy pohytu swego w Warszawie w molestowaniu Rządu Narodowego o wypłatę wynagrodzenia za swoje niewprowadzone w użycie wynalazki, wreszcie ograniczył swą pretensję do kwoty 10 tysięcy franków na koszta powrotu do Francji.

2 sierpnia 1831 r. Rząd Narodowy wezwał Komisję Wojny o ostateczne wyjaśnienie tytułu, jaki mieć może p. Garnerin do wynagrodzenia i kto mu takowe zapewnił?

Zanim wśród zamętu wypadków sierpniowych nadeszła w tej mierze odpowiedź, Rząd Narodowy wskutek rzezi 15 sierpnia 1831 r. upadł i godności jego Prezesa zajął Krukowiecki.

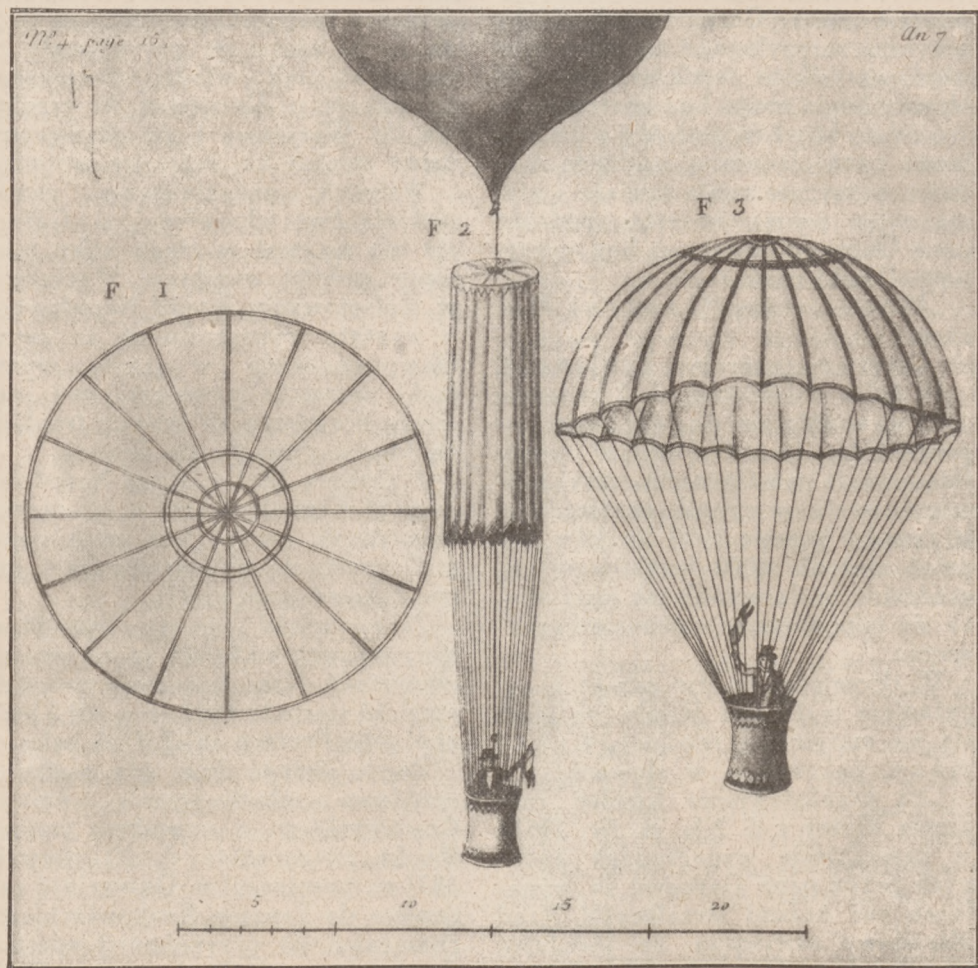
Tegoż samego dnia, gdy nastąpiło urzędowe obwieszczenie księcia Czartoryskiego o powodach zmiany Rządu, mianowicie d. 20 sierpnia 1831 r., pospieszył p. Garnerin z podaniem do Prezesa Krukowieckiego, domagając się przynajmniej odszkodowania za swój długi pobyt w Warszawie i na koszta podróży do Francji.

„Niżej podpisana panna Eliza Garnerin i jej ojciec — słowa podania — przybyli z ufnością do Warszawy, ulegając namowom agenta Banku, który przybył do nich z propozycjami do Berlina i zaliczył im 400 franków na koszta podróży dla czterech osób. Celem tej podróży było dostar-

czenie armji polskiej środków stosowania wzlotów balonu dla rekognoskowania stanowisk i ruchów nieprzyjaciela, środków, raz już skutecznie stosowanych w czasie zwycięskiej dla Francuzów bitwy pod Fleurus. Od marca r. b., to jest od

tem tańszej, a dla wykonania której, starczyłoby dni 19-cie.

„Tymczasem, bez jakiegobądź w tej mierze decyzji. nic nie zostało zrobionem dotychczas. Pan Garnerin i jego córka pozostawali w ten sposób przez sześć miesięcy w Warsza-



Pierwszy spadochron Garnerina zademonstrowany przez niego 22 października 1797 r.

chwili przyjazdu, podpisani pozostawali ciągle do dyspozycji Rządu, aby dopełniać projektowanych wzlotów.

„Ostatniemi czasy jeszcze, była mowa o zbudowaniu nowej maszyny, łatwiejszej do wzniesienia się w górę i do jej przeznaczenia, przy-

wie, nie otrzymując żadnego wynagrodzenia dla siebie i dla swoich pomocników od Rządu, na którego wezwanie tu przybyli.

„Najpiękniejsza pora roku, najpodatniejsza dla wzlotów aeroporycznych panny Garnerin, stano-

wiących jedyne źródło utrzymania rodziny, spełzła na niczem. Fakta powyższe są powszechnie znane i mogą być stwierdzone przez osoby wiarogodne. W tym stanie rzeczy podpisani, znagleni rozpaczliwym stanem niepewności, mają zaszczyt prosić o wypłacenie im dziesięciu tysięcy złotych odszkodowania za podróż i pobyt w Warszawie. Kwota powyższa nie wyrównywa szkód rzeczywistych, jakie ponieśli skutkiem swej podróży, mogłaby wystarczyć dla zaspokojenia długów, jakie zaciągnęli w czasie swego tutaj pobytu i kosztów podróży do Francji.

„Racz przyjąć J. W. Prezesie etc. Eliza Garnerin, Garnerin ojciec, Hotel d'Europe w Warszawie, 20 sierpnia 1831 r.”.

Z powodu reskryptu Rządu wystosowanego w d. 26 sierpnia 1831 r. do Komisji Wojny, taż Komisja objaśniła, że Rząd żadnych zobowiązań względem Garnerinów nie zaciągał, wskutek czego Rząd Narodowy d. 30 sierpnia 1831 r. zawiadomił Garnerina, „iż, gdy według odebranych przez Ministra Wojny objaśnień, żadne wynagrodzenie p. Garnerin nie było zapewnione, ani też był z umysłu był do Warszawy sprowadzony, przeto Rząd Narodowy nie czuje się w obowiązku dawania mu jakiegokolwiek wynagrodzenia, za dobrowolnie przedłużany w Warszawie pobyt jego. Warszawa, d. 30 sierpnia 1831 r. Prezes Rządu, K r u k o w i e c k i.

* * *

Kapitulacja Warszawy d. 7 września 1831 r. i represje stanu wojennego, zaprowadzone w stolicy po wkroczeniu do niej wojsk rosyjskich, zagroziły wszystkim cudzoziemcom, a zwłaszcza Francuzom, przykremlimi następstwami śledztwa i odpowiedzialności za udział w stłumieniu powstania. W takim położeniu znaleźćby się mogła rodzina Garnerinów, o ileby ówczesny gubernator

wojenny, generał Witt, miał wiadomość o roli, jaką Garnerinowie pragnęli spełniać podczas operacji wojennych minionej kampanji. Na szczęście jednak, dzięki zręczności panny Elizy, która wymownie, pięknym stylem paryżanki umiała wyjaśnić swoją nadpowietrzną specjalność, uwierzono, że Garnerinowie przybyli do Warszawy jedynie w celu zabawienia publiczności pokazem ewolucyj balonowych i, że jedynie wypadki ówczesne stanęły na przeszkodzie urzeczywistnienia tak niewinnej imprezy.

Jakoż, pozostawiono aeronautów w spokoju, w przewidywaniu, że z uspokojeniem się umysłów, można ich będzie użyć do zabawiania mieszkańców Warszawy widowiskami łagodzącymi żalobny nastrój stolicy.

Istotnie, po upływie roku od upadku Warszawy, w „Kurjerze Warszawskim” z 16 września 1832 r. ukazał się artykuł następującej treści:

„Dziś, o godzinie 3 z południa J. Panna Garnerin puści się balonem. Jeżeli J. Panna Garnerin wcześniej spuści się za pomocą spadochronu i zdąży przybyć do Warszawy, znajdować się będzie w Teatrze Narodowym w jednej z łóz 1-go piętra.

Grano tego wieczoru — Niemą z Portici. Oto w Nr. 50 „Kurjera Warszawskiego” z 17 września 1832 r. mieści się relacja z widowiska danego w ogrodzie Saskim przez pannę Elizę Garnerin, z opisem wypadku, którego podówczas stała się ofiarą. Forma owego artykułu, jego styl i barwność naiwnego opisu, dają nam obrazek Warszawki z epoki przełomowej...

„Nakoniec — głosił „Kurjer” — po tak długim oczekiwaniu, po kilkakrotnem odkładaniu, puszczenie się balonem przez J. pannę Garnerin, wczoraj dopełnionem zostało. Rano jeszcze nie była pewna pogoda i do południa wiatr wzmagął się czasami, lecz od godziny 11-ej zu-

pełnie się wypogodziło i powietrze było spokojne.

„Już o godzinie 2-ej mieszkańcy Warszawy wszelkich klas zaczęli zapępniać przyległe ogrodowi i dziedzińcowi Saskiemu ulice, zaś około 3-ej miejsca płatne w ogrodzie, w nowo-urządzonym amfitearze, prawie wszystkie zostały zajęte. Prócz amfiteatru, za mniejszą opłatą, widzowie napełnili znaczną część ogrodu. J. O. Księżna Jejmość Warszawska i znakomite damy, obecne w stolicy, zajęły ozdobnie urządzone miejsca. Wszystkich osób, które weszły do ogrodu za biletami było 3700. Na kilka minut przed 5-tą J. panna Garnerin wsiadła w kosz ozdobiony kwiatami. Przywiązanie spadochronu do balonu trwało krótko, a balon już od południa był gazem napełniony. Rodzice żeglarki napowietrznej znajdowali się przy niej. Pożegnała obecnych i, bynajmniej nie strwożona, dała znak odjęcia sznurów, utrzymujących balon. Natychmiast balon wzniósł się ku ulicy Mazowieckiej i nad Nowym Światem. Publiczność na ulicach i na dachach oklaskami i okrzykami okazała zadowolenie, a bardzo wiele osób na ten nadzwyczajny widok trwożą przejęła. Przez 70 sekund aeroporystka unosiła się w powietrzu. Balon wzniósł się na 1000 łokci.

„Tu się okazał dla Warszawy, a dotąd rzadki jeszcze w świecie widok, spuszczenia się z pod obłoków żywej osoby. Panna Garnerin będąc nad miejscem, w którym Nowy-Świat przedziela drogę Jerozolimską, oddzieliła od balonu spadochron, który się natychmiast rozwiał. W polocie ku ziemi kosz się nieco przechylił, a na taki widok, ile wszyscy patrzący przerażeni zostali, łatwo można wyobrazić.

„Kosz spuścił się na miejsce przed pałacem Dyrekcji dróg i mostów, t. j. miejsce zasadzone gęsto drzewami. Spadnięcie kosza było nieszcześnie! Gałąź przedarła się

przez kosz, gdy z siłą spadał i strzaskała lewą rękę panny Garnerin. W tejsze chwili przybiegł konno Vice-Prezydent miasta, a natychmiast zbliżywszy się do będącego już na ziemi kosza, znalazł pannę Garnerin zemdloną. Za odzyskaniem przytomności rzekła, iż czuje, że ręka jej jest złamaną. Lud się ze wszystkich stron zgromadził. Zaniesiono ją w tymże koszu balonowym do bliskiego lazaretu w domu Jasińskich, gdzie stosownie została opatrzona.

„Balon po oddzieleniu go od spadochronu uniósł się nagle i połączył z obłokami. Spadł we wsi Siekierki, wzięty przez huzarów i zabezpieczony przez ich dowódcę.

„Wieść o przypadku panny Garnerin rozniosła się natychmiast po całej Warszawie. Wszyscy mieszkańcy ubolewają nad tem smutnem zdarzeniem, tembardziej, że przez kilkanaście miesięcy oczekiwała w tej Stolicy na chwilę stosowną do odbycia swej 37 napowietrznej żeglugi, a przez ten czas już zabrakło jej wszelkich fundusów.

„W tej chwili, gdy to piszemy — kończy sprawozdawca — cztery osoby złożyło na leczenie złotych kilkanaście, spodziewając się, iż znajdą naśladowców”.

Nazajutrz zawiadomił „Kurjer”, iż Księżę Paskiewicz z gubernatorem wojennym Wittem, odwiedzili szpital, dowiadując się o zdrowie panny Garnerin.

„Ta troskliwość dostojnego Księcia — kończy sprawozdawca — przyniosła artystce pocieszenie i ulgę, a najtkliwszą wdzięczność i pamięć tej chwili dożgonnie zachowa”.

O dalszych losach rodziny Garnerinów, wiadomości nie posiadam.

Takim jest plon notatek zebranych przez piszącego w sprawie lotnictwa balonowego w Polsce, w czasach względnie najdawniejszych, do pierwszej połowy ubiegłego stulecia należących.



ON: Zmiłuj się, biegnij do wsi i sprowadź ludzi na pomoc!
ON.4: Chwilkę cierpliwości, najdroższy, nie mogę przecież tak się ludziom pokazać....

Jak zostałem pilotem

napisał major-pilot M. D. Szczudłowski

Pamiętam jak dziś dzień kiedy przyniesiono do domu gazetę i ojciec odczytał nam, że Chavez po dokonanej przełocie Alp zmarł z powodu ogromu doznanych wrażeń. Od tego dnia zważyłem się na boga wiatrów i chmur.

Wiedziałem, że Alpy broniły się w ten sposób przed śmiałkiem, który zdołał wznieść się ponad nie i badać ich tajemnicę. Długo w snach marzyłem o sławie takiego lotnika, jakim musiał być Chavez.

Lata miały — sklejałem małe modele samolotów, kupowałem tajemnicie płótno, strugałem deszczułki, chwytalem ciekawie wzory samolotów, wczytywałem się w literaturę lotniczą (o ile taka była) i widziałem wloty hr. Scipio del Campo i Sablatuiga. Widzę jeszcze Sablatuiga, gdy po dokonanej rundzie, na swym Wrightcie, przechodził otulony w futro lotnicze, pośród owacyjnie przyjmujących go tłumów.

W rok później, zakradłem się do hangaru, gdzie mieścił się nieudały samolot inż. Webera, odpędziłem stamtąd łobuzów, którzy ogałali samolot bezplanowo z metalowych a szczególnie z mosiężnych części, usiadłem przy sterach, wykonałem parę ruchów i czułem się potem, jak Jaś i Małgosia po oszukaniu Baby Jędy. Na tem się jednak chwilowo zakończyło.

Od tego czasu dochodziły mię słu-



Ponad Warszawą

chy o samolotach, jednak ich nie widziałem. Dopiero w roku 1914 zobaczyłem pierwsze samoloty na froncie. Przypominam sobie olbrzymi rozgłos, który pozyskał lotnik wojskowy, wylatując z oblężonej twierdzy. Czułem, że

duch mój jest przy nich, tych, co mierzą powietrzne szlaki, ciałem jednak czułem się zupełnie prozaicznie... na ziemi i to... w okopach'

Wybawienie nastąpiło jednego dnia niespodzianie.

Nadszedł okólnik, żądający ochotników, byłem jednym z pierwszych i w 3 tygodnie jechałem do mego Edenu do... szkoły! Tymczasem czekała mi tam nielada niespodzianka, która zakończyła się dla mnie korzystnie. Było to groźne badanie lekarskie. Ilu lekarzy badało mię na różne choroby możliwe i niemożliwe: nerwy, uszy, oczy, płuca, kurzą ślepotę etc., Bóg jeden i oni sami raczyli wiedzieć. Muszę się jednak przyznać, że bałem się ich okropnie, nuż osądzą, że coś braknie, co wtedy? Po wyczekiwaniu półgodzinnem, które zdało mi się wówczas bardzo długiem, otrzymałem kartkę z aprobatą zdolności fizycznych. A więc Gehennę pierwszą przebyłem szczęśliwie. Krótco potem, zabrano się do naszego szkolenia.

Pozostali mi w mej wyobraźni ci nasi piloci instruktorzy, obwieszani odznakami za waleczność, dumni,

grzeczni i nadzwyczaj elegancy. Zresztą i tak mieliśmy ich za półbogów. Każdy ich ruch, skinienie, miało dla nas nimb specjalnego prestigu i czarnoksiężkiej magii. Jednym słowem, byli dla nas mistrzami.

Na początku szkolenia zabierał pilot-instruktor jednego z nas po kolei w powietrze, aby — jak się wyrażano — oswoić z przestrzenią. Mój pilot wleciał ze mną na 2.000 m. Pomysleć tylko, po raz pierwszy! Jak się później przekonałem, miałem to nierozumne uczucie nowicjuszy, którym się zdaje, że im niżej tem bezpiecznej. Nagle silnik wstrzymany ręką pilota przestał działać, to znów warczał, to ścichał, nie wiedziałem co się ze mną dzieje. Raz widziałem niebo, to ziemię, raz bokiem spadałem ku jakimś zabudowaniom, zwiisałem na pasach, to znów wślaczały mię kolosalne jakieś siły w samolot, tak, że byłem pewny, iż siedzenie przełamie podłogę i wraz ze mną wyleci z samolotu. Niepojętem było dla mnie, że samolot był wciąż cały i wcale nie trzeszczał, a tembardziej wcale nie miał zamiaru się rozpadać. Nareszcie odczułem, że wracam do poprzedniego normalnego położenia. Dziękowałem Bogu że żyję, a cieszyłem się szczerze, gdy wylądowaliśmy i stanąłem na twardej ziemi. Nie musiałem wyglądać cudownie, bo moi koledzy patrzyli na mnie trochę głupio, mimo moich usiłowań, by, jak mi się zdawało, najobojętniej na świecie wychwalać wspaniały lot.

Następnego dnia zaczęło się normalne szkolenie. Pilot dawał gaz, cisnął, jednym słowem startował, ja trzymałem delikatnie ręce na sterach, chcąc przytem widzieć ruchy. Dopiero później nauczyłem się, że stery należy wyczuwać a nie widzieć. Takie normalne szkolenie trwało już 2 miesiące, gdy jednego dnia zwrócił się mój pilot do mnie ze słowami, że muszę już sam wykonać mój pierwszy lot. Taki sobie pan instruktor zwraca się do ucznia i mówi mu:

— Pan wyleci dzisiaj!

To nie znaczy, że się wyleci ze szkoły, broń Boże, to znaczy, że wedle uznania instruktora ma dość dwusteru i może sam prowadzić maszynę. Tak też było i ze mną. Łatwo jest to komuś powiedzieć takie: „Pan wyleci!”, ale temu „panu” trudniej to wykonać. No, ale cóż robić, raz musiało to nastąpić. Człowiek się tego wcale nie bał, ale skrycie w duszy wolał, aby to nastąpiło jutro.

Tymczasem mechanicy jak na złość zaczęli cdurowywać na drugim siedzeniu worek z piaskiem. Odczyściwałem tymczasem z heroiczną miną — takiego, co mi zrobisz, a ja sam w strachu — moje okulary, by pyłek nie przesłaniał mi widoku, zapinałem się szczelnie, ściągnąłem mocniej mój hełm, wsiałem do siedzenia pilota, zrobiłem nieodzowną próbę motoru, z wystawieniem palców na trzy i drugi i... czekałem na mój, jak mi się wówczas zdawało, niefortunny występ. Nagle ruch choraągiewki startera, sygnał gotów do odlotu, cała obawa pryska, pewność siebie wstępuje we mnie, pełen gaz, cisnę, pomagam sterom bocznym, pociągam, ziemia usuwa się zpod mnie, oddech głęboki, jeden kamień spada mi z serca... tymczasem już drugi narasta, cóż to? To pierwsza krzywizna, już po niej druga, trzecia, trzeba lądować.

Są pewne uczucia u nowicjusza, które po wzniesieniu się dodają mu odwagi; to słuchanie silnika! Gdyby jednak on zamarł, to co wtenczas? A tu przed lądowaniem trzeba go zgasić za każdą cenę, bo w kółko wciąż latać nie można. Trzeba nabrać odwagi, by lecieć bez niego, trzeba przemienić samolot na ślizgowiec. Jest to moment wahania krótki, lecz wbija się w pamięć i pozostawia gdzieś w duszy ryse, przełom jakiś, dokonanie czegoś nieokreślonego. Jest to uczucie, które przeżywa się po raz pierwszy i ostatni w życiu. Jest to koniec początku zostania



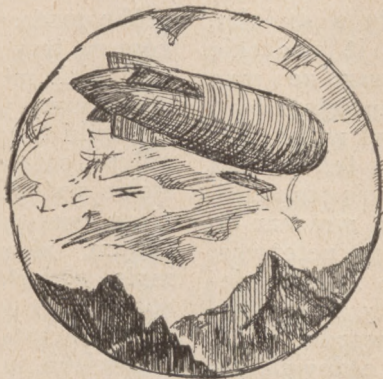
pilotem. Moment wahania jest tu częścią jednej sekundy, błysnie przez myśl, a jednak uczniowi wydaje się długi. Jedno pociągnięcie rączki od gazu, pociśnięcie steru, rzut oka na licznik obrotów i samolot opada ku ziemi.

Nowe niebezpieczeństwo... ziemia.

Ach! gdyby ją można odsuwać lub przysuwać do samolotu, niejeden lotnik żyłby do dzisiaj. Lecz ona jest już przy mnie, moment a uderzę w nią, połamię samolot! Lekki ruch ręki, wyrównanie sterów, samolot mój siada gładko i toczy się ku linii startu. Następne 3 loty podobne, pilot mój decyduje, że na dzisiaj dosyć.

Wstrzymuję silnik i zeskakuję z przekonaniem, że dziś wykonałbym z pięćdziesiąt takich lotów. Instruktor podaje mi rękę, chwali za ruchy w powietrzu i dobre lądowanie. Duma rozpiera mnie. Zostałem już uczniem-pilotem i mimo, że do ostatecznego dyplomu daleko, czuję się tak dalece pilotem, że ośmielam się zaprosić mego instruktora na flaszkę szampana.

Od tego czasu już latam sam. I mimo, że już wiele zim przeszło od tej chwili, wspominam zawsze mile o tych, którzy byli dla nas uczeni tymi półbogami i dla których poruszyłem tą starą historję.



Z zagadnień naszego lotnictwa

Jakież adanie ma do spełnienia Liga Obrony Powietrznej Państwa

napisał Stanisław Osiecki

Zyjemy w epoce powszechnej tęsknoty do pokoju. Współczesne pokolenie było świadkiem straszliwej walki ludów, a obecnie doświadcza na

bów współzycia narodów, które uniemożliwiłyby wojny na przyszłość. Niewątpliwie i my, Polacy, choć zawdzięczamy wojnie przywrócenie naszej niepodległości, pragniemy obecnie pokoju i nie jesteśmy ostatni w rządzie tych, którzy temu pragnieniu dają mocny wyraz.

A jednak mimo to państwa nie mają dostatecznej wiary w możliwość szybkiego urzeczywistnienia się idei powszechnego pokoju i starają się zabezpieczyć własną niepodległość i własne interesy przede wszystkim przez przygotowanie własnej siły obronnej. I oto widzimy, jak państwa równorzędnie z zabiegami o zapewnienie pokoju świata, niejednokrotnie pomimo wyczerpania ekonomicznego, energicznie dążą, jak za czasów przedwojennych, do wzmożenia własnej siły zbrojnej. I my też, pragnąc gorąco pokoju, nie możemy pod grozą najcięższych następstw dla naszej ojczyzny pozostać pod względem przygotowania własnej siły obronnej nazbyt w tyle za innymi państwami.

Nasze ciała ustawodawcze i rząd robią w tej dziedzinie wszystko, co zrobić mogą. Dzięki tym wysiłkom, mamy już doskonałą armję, mamy spore zasoby w materiale wojennym. Ale oto nie wszystko. Postęp w technice wojennej, w sposobach uzbrojenia idzie tak szybkim krokiem naprzód, że nasze czynniki wojskowe już to wskutek niedostatecznych środków budżetowych, już to wskutek sła-



Stanisław Osiecki,

prezes Gł. Zarządu L. O. P. P., minister Przemysłu
i Handlu

sobie jej fatalnych następstw materialnych i moralnych. Toteż wiele narodów i wielu na wybitniejszych mężów stanu poświęca dużo czasu i energii wynalezieniu takich sposo-

bo rozwiniętych niektórych gałęzi naszego przemysłu nie są w stanie zaopatrzyć armji w sposób dostateczny w takie środki obrony, które w innych krajach stoją na wyżynie swego rozwoju i mogą decydować niejednokrotnie o zwycięstwie.

Typowym przykładem takiego środka obrony jest lotnictwo.

Dzisiaj już chyba każdy obywatel kraju wie, jak potężne znaczenie w wojnie ma samolot. Państwo, które zaniedbałoby tego środka obrony, zgóry skazane byłoby na przegranie wojny. Wszystkie też państwa dokładają wszelkich starań, aby lotnictwo u siebie rozwijać jak najwyżej. Tysiące samolotów unoszących się w powietrzu, silny rozwój przemysłu lotniczego, a nawet specjalnie powoływane do życia ministerstwa lotnicze świadczą o tem dobitnie.

Niestety nie możemy na tem polu poszczycić się wielkimi sukcesami. Stan naszego lotnictwa wojennego, jak zresztą i cywilnego pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Złożyło się na to wiele przyczyn, z których należy uznać za najważniejsze: brak dostatecznie rozwiniętego w kraju przemysłu samolotowego, brak dostatecznej ilości wyszkolonych pilotów i mechaników lotniczych, a przede wszystkim brak jeszcze dostatecznej popularności lotnictwa w kraju. Niedomaganiom tym same czynniki wojskowe zapobiec nie są w stanie. Tu musi przyjść z pomocą państwu inicjatywa i współpraca społeczna, tembardziej wskazana, że idzie tu nie tylko o lotnictwo wojenne, ale i o rozwój lotnictwa cywilnego, o rozwój komunikacji lotniczej, otwierającej nam wolny dostęp do całego świata.

Tego trudnego zadania podjęła się Liga Obrony Powietrznej Państwa, instytucja, która znalazła zrozumienie i przychylne przyjęcie w społeczeństwie naszym. Setki tysięcy osób spieszących zapisać się w poczet członków Ligi i te drobne często gro-

szowe składki, dające w rezultacie pokaźne sumy, wymownie świadczą, że cele Ligi nie są obojętne dla obywateli naszego państwa. Ale to jeszcze nie wystarcza. Poparcie musi być jeszcze energiczniejsze, ofiarność jeszcze większa, ażeby Liga mogła spełnić swoje zadanie.

Jaki program powinna L. O. P. P. na najbliższą przyszłość sobie wytknąć, ażeby swemu zadaniu najsukceszniej odpowiedzieć.

Często dają się słyszeć głosy w kraju, według których Liga powinna zebrane środki obrócić w pierwszym rzędzie na zakup dla armji jaknajwiększej ilości samolotów. Takie jednak pojmowanie zadań Ligi, mojem zdaniem, byłoby błędne. Zaopatrzenie armji w samoloty jest sprawą stosunkowo najłatwiejszą, Posiadając do swojej dyspozycji odpowiednie środki budżetowe, wojsko w czasie pokoju łatwo może nabyć prawie każdą ilość samolotów w fabrykach zagranicznych. Jednak bez dostatecznej ilości wyszkolonych pilotów, bez należytej rozwiniętej sieci lotnisk i hangarów, nie będzie w stanie uruchomić znaczniejszej liczby aparatów lotniczych, a bez dostatecznie rozwiniętego rodzimego przemysłu lotniczego, bez należytej wykwalifikowanych sił technicznych, w razie wybuchu wojny, całkowicie bylibyśmy zdani na łaskę i niełaskę dostawców zagranicznych.

I dlatego, mojem zdaniem, L.O.P.P. winna zwrócić baczną uwagę na pracę u podstaw, powinna dążyć przede wszystkim do wytworzenia w kraju warunków, które są niezbędne dla uruchomienia i rozwoju lotnictwa w państwie.

Za jeden z takich warunków uważam wyszkolenie jak największej ilości pilotów uzdolnionych tak do służby wojskowej, jak i cywilnej. W tym celu trzeba powołać do życia szereg szkół specjalnych.

Nie mniej niezbędnymi od pilotów są mechanicy lotniczy. Wyszukolenie

ich może się odbywać zarówno w istniejących szkołach mechanicznych przez stworzenie przy tych szkołach odpowiednich oddziałów, jak i w szkołach nowopowołanych do życia.

Pilnym punktem programu Ligi musi być sprawa rozbudowy w państwie sieci lotnisk i hangarów, bez których trudno mówić o rozwoju komunikacji lotniczej tak cywilnej, jak i wojskowej.

Jednocześnie Liga musi dążyć do umożliwienia rozwoju przemysłu lotniczego w państwie. Bezpośredni poparcie tego przemysłu L. O. P. P. oczywiście zająć się nie może, natomiast winna zająć się przygotowa-

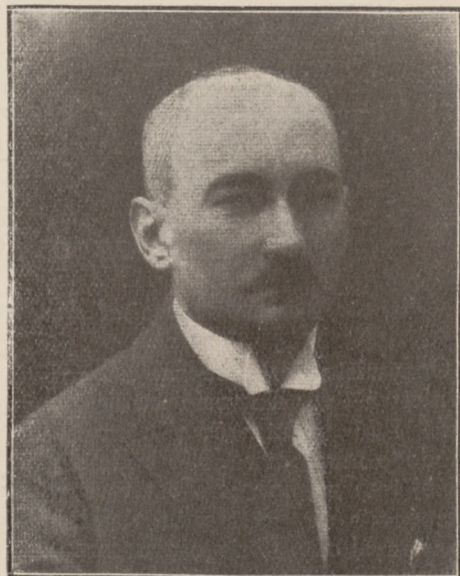
niem sił fachowych, przez stworzenie odpowiednich katedr w politechnikach, wysyłanie stypendystów na studia zagranicę, wykończenie i należyte urządzenie instytutu aerodynamicznego i t. p.

Część tych zadań L. O. P. P. już podjęła, ale do całkowitego ich zrealizowania jeszcze daleko. Są to zadania podstawowe i najpilniejsze dla rozwoju naszego własnego lotnictwa. Liga winna skupić na nich przede wszystkim swoją pracę i energję. Jeżeli je spełnimy, będziemy mogli być spokojni o przyszłość naszego lotnictwa.

Nie rozpraszajmy sił!

napisał inż. Wacław Januszewski

Życie gospodarcze Polski, pomijając inne przyczyny, cierpi najwięcej i z powodu rozpraszania energii w kierunkach wręcz rozbieżnych, często nawet sprzecznych. Spora ilość energii społecznej, tak niezmiernie cennej, jest marnotrawiona przez to, że zużywa się ją na wykonanie pracy, która nie jest skoordynowana z pokrewnymi poczynaniami. Nie rozumiemy ogromnego znaczenia planu zasadniczego i wynikającej z niego organizacji pracy. Zasada ekonomji sił jest Kopciuszkiem w naszym społeczeństwie, ba! nawet w takiej organizacji, jak administracja Państwa! Nic też dziwnego, że i na terenie Ligi Obrony Powietrznej Państwa potrzeba znacznego wysiłku dla osiągnięcia jej celów. Liga Obrony Powietrznej Państwa jest instytucją o metodach pracy nawskroś liberalnych. Komitety Wojewódzkie i Powiatowe posiadają dużą autonomję w zakresie inicjatywy i wykonania. Jest to siłą Ligi, ale i wielką słabością — siłą, gdyż zachęca do pracy, słabością, gdyż może wywołać rozbieżność celów,



*Inż. W. Januszewski,
ppłk., senator, v.-prezes L. O. P. P.*

zamęt w dążnościach, a w konsekwencji to właśnie zgubne rozpraszanie energii.

Komitety Wojewódzkie (czy nawet powiatowe) zapominać mogą o ogół-

nym planie prac, jaki został ustalony w porozumieniu z rządowymi przedstawicielami lotnictwa i uchwalony na Ogólnym Zjeździe. Rozpoczynając prace czasem b. ponętne i piękne, ale stojące w danym czasie na dalszym szczeblu ogólnego planu lub co gorzej nieobjęte tym planem wcale, mogą wywołać zamęt, a w rezultacie brak pieniędzy i niemożność wykonania w określonym terminie wszystkich zamierzeń. Dlatego też rozumiejąc konieczność ściślej współpracy, dla przestrzegania zasady ekonomji sił, jednostki uspołecznione i wyrobione w pracy organizacyjnej, znajdujące się na prowincji, stojące blisko L. O. P. P., winny zawsze stać na straży zasady nierozpraszciania energii i w imię tejże podporządkować się w swych poczynaniach planowi, który w punktach zasadniczych, streszcza się następująco:

- 1) Utrzymanie szkoły pilotów w Poznaniu.
- 2) Założenie i utrzymanie szkoły mechaników lotniczych.
- 3) Utrzymanie lotniska w Łodzi i budowa lotniska w Katowicach.

4) Wykończenie Instytutu Aerodynamicznego.

5) Popieranie naukowych prac w zakresie lotnictwa.

Ogółem realizacja tych zamierzeń na rok 1926 przekroczy sumę 2 milionów złotych. Oczywiście, że istnieją jeszcze inne dalsze i szersze plany na lata następne.

Zasada ekonomji sił — nierozpraszciania energii — stara jak świat — tak prosta, — tak jasna — jakże trudna jednak do przeprowadzenia w naszym społeczeństwie! A czyż jest taki naród w Europie, któryby winien przestrzegać ściślej tej zasady jak my?!

Okrażeni wrogami winniśmy właśnie przestrzegać jej jako jedyngo wskazania i energję społeczną oszczędzać do najwyższych granic, wprowadzając jasny, ściśle obmyślany i opracowany plan jej użytkowania.

Tylko takie postępowanie pozwoli nam w decydującym momencie wydać ze siebie maksimum energii.

Kilka uwag o lotnictwie w Polsce

napisał dyr. Wacław Ostrowski

Oczywistą jest rzeczą, że rozwój lotnictwa w zakresie wojskowym musi być podstawową sprawą dla każdego mocarstwa. Nie będę się też bliżej tem zajmować. Jest to sprawa odnośnego departamentu, działającego w myśl określonego programu. Liga Obrony Powietrznej Państwa wedle moźności idzie mu na rękę i jest tym bezpośrednim łącznikiem między społeczeństwem a właściwym organem państwowym.

Zwróćmy jednak uwagę na stronę cywilną lotnictwa. Rozwój jego stał się przedmiotem baczonej uwagi społeczeństwa wielu krajów. Działają

tam nie tylko wielkie towarzystwa komunikacyjne, utrzymujące łączność stolic z najodleglejszymi punktami posiadłości danych państw, ale także cały szereg innych jednostek. Mam tu na myśli fabryki samolotów, wytwórnie motorów, balonów, sterowców i t. d. Obok nich podkreślę też jak wielkie znaczenie mają również aerokluby a nawet i osoby prywatne. Nie sięgam tutaj do tych jeszcze dość niedawnych chwil, gdy pierwsi pionierzy lotnictwa nie tylko majątek swój, lecz i życie niesli w ofierze w imię osiągnięcia dodatnich rezultatów swych prób i doświadczeń.

W ostatnich czasach zainteresowały się lotnictwem na Zachodzie osoby prywatne, którym fundusze i samodzielność na to pozwalają. Od-bija się to nader dodatnio na produk-cji i udoskonaleniu aparatów. Wszel-kie konkursy ustalające rekordy czy to wysokości, czy też szybkości lotu i t. d. są nowym szczeblem w rozwo-ju. Słychać obecnie, że znany fabry-kant samochodów Ford dąży do zor-ganizowania fabryki samolotów na modłę posiadanej już wytwórni sa-mochodów. Taki sposób ujęcia sprawy pociągnie za sobą potaniecie kosztów produkcji aparatów, a co za-tem idzie, przyczyni się do coraz szerszego rozpowszechnienia samo-lotów do użytku doświadczanego i sportowego. Dotychczas tylko jed-nostki bardzo zasobne mogły sobie pozwolić na podobny zbytek; zbyt-kiem bowiem nazwać można wyda-tek zawsze ryzykowny, przy pierw-szej próbie bowiem, aparat może ule-dz zniszczeniu i cały wkład byłby stracony. Taniaść więc aparatu, sta-nowi ważki czynnik w możliwości roz-powszechniania lotnictwa cywilnego.

W Polsce tego rodzaju działalność pozostaje dotąd wyłącznie w inicja-tywie departamentu lotnictwa woj-skowego. Prawda, że kieszenie pry-watne są u nas tak wycieńczone, iż trudno nawet przypuścić, aby w bliż-szej przyszłości prywatna inicjatywa zająć się mogła tą sprawą. Należałoby ufać, że egzystujący już polski ae-roklub starać się będzie o zapoczą-tkowanie lotnictwa sportowego. Po-parcie tych poczynań, oczywiście w ramach możliwości finansowej w na-szym kraju, będzie miało dodatni wpływ na całokształt rozwoju lot-nictwa.

Liga Obrony Powietrznej Państwa ma w zakresie swej działalności rów-nież popieranie lotnictwa cywilnego i wszelkie kroki na drodze pod-niesienia poziomu lotnictwa w Pol-sce znajdują już i zawsze będą znaj-

dować jaknajbardziej przychylny od-dźwięk w jej tonie.

Dążyć powinniśmy do tego, aby nasze lotnictwo sportowe mogło sta-nąć na tym poziomie, by nietylko na-si piloci, ale i nasze ulepszenia w lot-nictwie mogły współzawodniczyć na rynku wszechświatowym. Już wspa-niałe raidy naszych dzielnych lotni-ków, generała - pilota Zagórskiego i pułkownika Rajskiego, dały nas po-znać na dalekich horyzontach świata;



*Wacław Ostrowski,
skarbnik Głównego Zarządu L. O. P. P.*

miejmy więc nadzieję, że i nasz prze-mysł lotniczy nie pozostanie w tyle. Brak nam wytwórni i motorów, to prawda, ale, jak mi wiadomo, stara-nia w tym kierunku tak są poważne, że ta gałąź przemysłu lotniczego znaj-dzie już wkrótce swe urzeczywistnie-nie.

Podkreślę tu jeszcze, że jednym z koniecznych czynników dla szerszego rozwoju jest wyszkolony personel lot-niczny. W tej dziedzinie Liga Obrony Powietrznej Państwa dużo już zrobi-ła, rozumie się w miarę swych zaso-bów. Szkoła pilotów i szkoła mecha-

ników dały już w bieżącym roku pewien dorobek przygotowanych do brze sił lotniczych. W roku następnym, o ile fundusze L. O. P. P. pozwolą, zakres przygotowania personelu zostanie jeszcze wzmocniony.

Byłoby też rzeczą nader pożyteczną, gdyby nasze szkoły politechniczne jaknajprędzej uwzględniły w zakresie swych programów wyższe szkolenie lotnicze. Miejmy nadzieję, że to nastąpi i nastąpić musi w najbliższej przyszłości.

Wskazanem jest zatem jak największe współdziałanie społeczeństwa z Ligą Obrony Powietrznej Państwa. Im większe fundusze wpłyną ze skła-

dek szerokich mas całego kraju, tem więcej Liga będzie w możności przyczynić się do postawienia lotnictwa cywilnego w Polsce na wysokości zadania.

Kraj nasz posiada już instytut aerodynamiczny (który jest na wykończeniu) — ostatni wyraz w tej dziedzinie — posiada fabryki samolotów, wkrótce będzie miał wytwórnię motorów, przytem zastęp odpowiedniego personelu, czyż nie powinien w bliskiej przyszłości stanąć do współzawodnictwa w szeregu tych państw, które otaczają lotnictwo gorliwą opieką władz i całego społeczeństwa.

Odowiedzialność narodu

napisał Józef Szejczer

Jesteśmy pokoleniem, któremu dane było oglądać, jak zmartwychwstała niepodległa i zjednoczona Polska.

Na nasze pokolenie spada obowiązek tą niepodległość utrwalić.

Do utrwalenia tej niepodległości, do zdobycia sobie mocarstwowego znaczenia, powołany został cały naród.

Cały więc naród odpowiedzialność nieść musi za to, co zrobi, za to, co zbuduje.

A do zrobienia, do zbudowania mamy bardzo wiele, o wiele więcej, niż inne narody, mając o wiele mniej niż one czasu na to.

Tylko wielkim, wspólnym wysiłkiem całego narodu, nie tracąc ani chwili napróżno, możemy dokonać tego, co mamy do zrobienia.

Od należytego zrozumienia tego obowiązku, od racjonalnego ustalenia kolejności ważności spraw, od wielkiego zbiorowego wysiłku celem tych spraw załatwienia, zależy nasza przyszłość, nasza opinja u obcych.

Stworzenie polskiego lotnictwa wybija się co do swej ważności na pierwszy plan.

Uświadomienie o tem jaknajszers-



Józef Szejczer,

Delegat Rady Nadz. do Gł. Zarz. L. O. P. P.

szych mas, pociągnięcie ich do wspólnej zbiorowej pracy postawiła sobie za zadanie L. O. P. P.

Tu niema ani chwili do stracenia. Każdy, komu droga Ojczyzna, kto

pragnie jej bezpieczeństwa, komu drogi jest spokój przy pracy i zapewnienie bezpieczeństwa swego domowego ogniska, winien się znaleźć w szeregach L. O. P. P.

Lotnictwo sanitarne

Dr. Karol Vacqueret

Pomysłowość i współdziałanie lekarzy i lotników na zachodzie, szczególnie we Francji, od szeregu lat dążyły i dążą do wyzyskania lotnictwa dla ulżenia losów ciężko chorych i rannych, znajdujących się zdala od szpitali odpowiednio urządzonych.

Już w r. 1912 na wystawie lotniczej w Faryżu, co prawda wówczas z wielkimi zastrzeżeniami, podziwiano model samolotu sanitarnego, nazwanego „Aerambulansem“.

Dziś państwa zachodne posiadają już całe eskadry samolotów sanitarnych.

I u nas w Polsce sprawa ta znalazła oddźwięk.

Wobec braku dobrych połączeń komunikacyjnych i regularnego stanu dróg na wiosnę i jesienią, szybki i bez wstrząśnień przewóz chorego, od czego często życie jego zależy, niestety bardzo często jest niemożliwy.

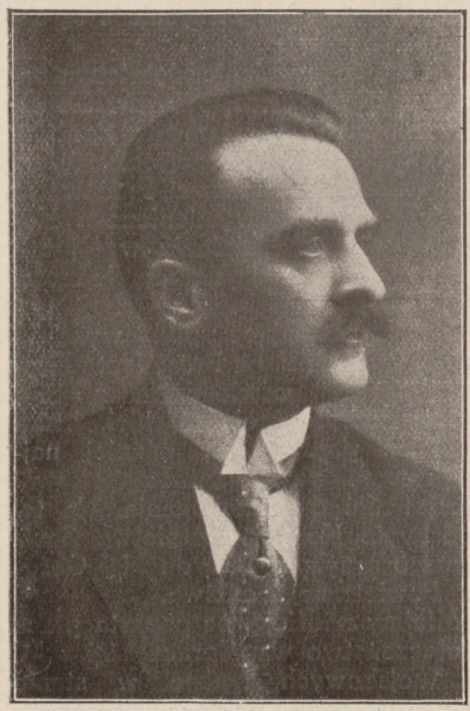
Sprawa jest tak jasna, że już przed trzema laty zorganizowany został przez sfery wojskowe Komitet Lotnictwa Sanitarnego.

Z początku zbiórka posuwała się w tempie dość powolnym, później jednakże dzięki powstałej przy Komitecie sekcji propagandowej z gen. dr. Horodyńskim na czele, uzbierana została w ciągu ostatniego roku kwota, pozwalająca na zakup trzech samolotów sanitarnych.

Pierwszy z tych samolotów sprowadzony niedawno zdał egzamin ze swej użyteczności przez przewie-

zienie chorego z Dębina do szpitala wojskowego w Warszawie.

Dwa następne wkrótce nadejdą i będą w niedługim zapewne czasie gotowe do użytku.



Dr. Karol Vacqueret

Departament Lotnictwa i szef jego gen. Zagórski z całą życzliwością stanęli do pracy. Miejmy nadzieję, że za przykładem Warszawy, w porozumieniu z odnośnymi D. O. K. i inne miasta stworzą środki lotnic-

stwa sanitarnego, które nie tylko wojskowości, ale i cywilnej ludności w nagłych wypadkach będą mogły spieszyć z pomocą.

Zgodnie z opracowanym projektem, oficer inspekcyjny lotniska przy D. O. K., który zarządza uruchomieniem samolotu sanitarnego, będzie wykonywać zlecenia dyżurnego lekarza danego szpitala okręgowego, do którego mają być telegraficznie kierowane nagłe zapotrzebowania.

W ten sposób i lekarze cywilni będą mogli korzystać z dobrodziejstw przewozu drogą powietrzną swych pacjentów.

Chorzy i ranni, czy wojskowi, czy cywilni, potrzebują tego samego ratunku i muszą go otrzymać z tą samą szybkością.

Niestrudzony pionier lotnictwa sanitarnego w Polsce, gen. dr. Składkowski, szef Departamentu Sanitarnego M. S. Wojsk., zwrócił się do Ligi Obrony Powietrznej Państwa w imieniu powyżej wymienionego Komitetu o współdziałanie w tej tak ważnej dla całej naszej ludności sprawie.

Liga, pozostająca pod wysokim protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, oświadczyła z całą gotowością poparcie tej idei, która przecież prędzej, czy później największemu nawet „niedowiarkowi” musi trafić do przekonania. Na tej podstawie Komitet Lotnictwa Sanitarnego przyłączył się do Ligi Obrony Powietrznej Państwa.

Miejmy nadzieję, że poparta przez społeczeństwo współpraca Ligi z M. S. Wojskowych będzie w stanie stworzyć takie lotnicze pogotowie ratunkowe, które całą Polskę obej-

mie, a wtedy nie tylko, jak dziś, uprzywilejowany mieszkaniec wielkiego miasta, ale i wieśniak nawet z odległej głuszy będzie mógł otrzymać szybko i skuteczną pomoc.

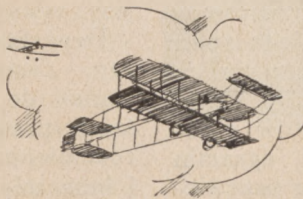
Nie zapominajmy również, że z czasem szeroka organizacja cywilnego lotnictwa sanitarnego stworzyłaby rezerwę, co na wypadek wojny miałyby donieść znaczenie. Możliwość przewiezienia rannych z pola bitwy do czystych szpitali, dokonywanie operacji w salach specjalnych a nie w przygodnych ambulansach, nie jednemu bohaterowi może ocalić życie.

W każdym razie słusznie twierdzi gen. dr. Składkowski, że dziś „społeczeństwo, tworząc lotnictwo sanitarne, zapewnia sobie skuteczną pomoc w wypadkach, w których dotychczas właściwie ratunku żadnego niema.

Wyobraźmy sobie, że np. w Horodnie między Pińskiem a Sarnami, lub choćby nawet w jakimś Rypinie — ktoś zachorował i potrzebuje szybkiego, natychmiastowego zabiegu chirurgów lub zastosowania specjalnych środków leczniczych. Zginie — jeśli nie uratuje go i nie zabierze szybki samolot”.

I znów powtórzyć musimy słowa, wypowiedziane w swoim czasie przez twórcę lotnictwa sanitarnego dr. Chassaing, posła do Izby Deputowanych w Paryżu, iż „nastanie czas, gdy samolot, który dotychczas niósł śmierć i zniszczenie na wojnie, przyniesie ludzkości życie i ocalenie”.

Hasłu temu niewątpliwie przyklasną wszyscy członkowie Ligi Obrony Powietrznej Państwa.





Dwa lata temu, po raz pierwszy, spokojny obywatel stołecznego miasta Warszawy, pan Ignacy Migdaliński, zamieszkały przy ul. Krzywe Koło Nr. 8 m. 6 zauważył litery L.O.P.P.

Było to tak. Do obowiązków pocziwej Marysi w niedzielę należało przyniesienie do łóżka panu Ignacemu na tacy pięknie serwetą nakrytej — śniadania. Śniadanie bywało rozmaite, zależnie od Marysinych domysłów — czem to można pokrzepić mdłe ciało pracownika państwowego. Kawa i szklanka herbaty wchodziły zawsze do menu.

— Kawa, uważa pan — mawiał Ignacy — rozszerza nam rano żołądek, co jest bardzo zdrowo. Działa przytem łagodnie przeczyszczająco. Broń Boże! herbata z cytryną. Ta ściąga pana na samym wstępie. Kawa jest najzdrowsza, ale, że bywa trochę mdła, dobrze po niej wypić pół szklaneczki herbaty.

Pozatem, jako karm dla ducha, obok bułeczki z pysznym pasztetkiem i spodeczka z odrobiną smacznych powidełek — leżała Gazeta Poranna.

Od szeregu lat kupowała ją Marysia na rogu od znajomej gazeciarki. Przy tej okazji sama też uszczknęła

nieraz odrobinę politycznych wiadomości.

— Co słychać? — pytała.

— O! moja pani, mówią, że przyłączenie tego Śląska, to bardzo ważne. Chyba będzie znowu amnestja i Antka wypuszczą.

Antek odsiadywał właśnie karę z powodu różnicy przekonań z policją, a należał do postrachów Marysi.

— Widzi pani! — odpowiadała z godnością Marysia, poczem uroczyste w poczuciu podniesionej godności o jedną wiadomość więcej, szła po bułki.

— Antka mają wypuścić — rzuciła od niechcienia wychodząc ze sklepu.

— Bez co, moja pani?

— Amnestję.

Po odejściu Marysi, słowo „amnestja“ było przedmiotem długich rozmów. Pan Ignacy był starszym kancelistą w ministerstwie i stąd do słów Marysi przywiązywano wagę ministerjalną.

Do dalszych zwyczajów niedzielnego śniadania należała rozmowa. Marysia stawała w progu sypialnego pokoju, opierała się o drzwi i zwołna przesączała wiadomości z ubiegłego tygodnia i budżet przyszłego. A to, trzeba kupić na zimę węgla, karto-

i kapusty. Można by usmarzyć borówek. Jest sezon grzybów — a też przydałyby się na zimę...

Pan Ignacy pomiędzy „Zemsta zdradzonego męża“, którą czytał naprzód i artykułem wstępnym, który czytał nieco później, odpowiadał urywanymi zdaniami, z których Marysia kleiła swój program.

Tym razem poszło jej gorzej nieco.

— Marysiu! — zapytał ją pan — co to jest L. O. P. P.?



Co to jest L. O. P. P.? — spytał...

— Niewiem — odpowiedziała. Dodała jeszcze z przyzwyczajenia „bo to chyba“, ale dalej ani rusz.

Pan Ignacy zatopił się w domysłach. Pomiedzy ogłoszeniem raz, a w tekście po raz drugi, było wyraźnie napisane: „Popierajcie L. O. P. P.“.

Pamięta doskonale, jak raz przez tydzień gazeta drukowała „12“. Potem Mroczkowski sprowadził 12 lwów. Jak miała iść w kinie tajemnica przystanku tramwajowego, wstrząsający film Relidzyńskiego, to naprzód była w gazetach tylko latarnia

z tabliczką, potem Smosarska, a potem dopiero cały tytuł. Tak samo było ze znakiem zapytania. Drukowały go gazety kilka dni. Wreszcie pokazało się, że to ma być maskarada. Pan Ignacy był na tej maskaradzie, wrócił do domu w towarzystwie i miał dużo kłopotu, nim wytłumaczył Marysi, że nie powinna rzucać miejsca.

To wspomnienie, doznanego upokorzenia zepsuło mu humor. Ubrał się pomaleńku. Ogolił się staranniej niż zawsze, ubrał się w żakiet i wolnym krokiem poszedł do kawiarni. Był to codzienny jego spacer. Przy szklance pół czarnej, rozmawiał ze znajomymi o poważniejszych wydarzeniach.

Pan Ignacy zmierzał zawsze prosto do celu.

— Co to jest L. O. P. P.? — zapytał sąsiada.

— Niewiem.

— A pan nie wie?

— Niewiem.

Tymczasem przez kilka następnych dni, tajemnicze litery pokazywały się stale w gazetach. W innych gazetach były także.

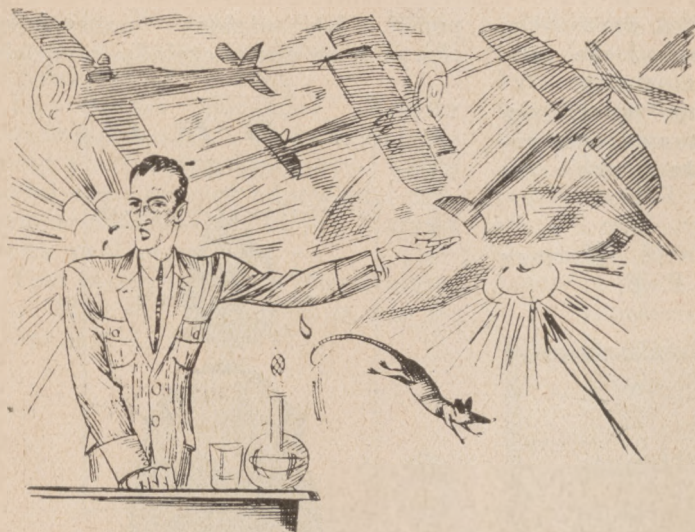
Pan Ignacy bardzo lubił zagadki, zresztą nigdy żadnej nie odgadł, tym

razem jednak był zirytowany.

— Tego zawiele — dowodził, można tak napisać dwa, trzy razy, ale żeby ciągle... Pójdę chyba do redakcji.

Nie poszedł jednak. Tajemnica została rozwiązana w sposób zgoła nieoczekiwany.

Pierwszego stanął w kolejce do kasjera. Nie pchał się zanadto, gdyż czynność podejmowania pieniędzy lubił załatwiać powoli i rozważnie, a przeszkadzali mu w tem zniecierpliwieni koledzy. Chętnie ustępował



..prelegent huknął pięścią w stół i zawołał...

W sali było pełno. Ludzie deptali sobie po odciskach, przy przeciskaniu się, guziki odlatywały od płaszczy, policjant interwenjował przy zakupie biletów — jednym słowem były wszystkie czynniki wielkiego powodzenia. Wiadomo doskonale, że o ile jakakolwiek impreza odbywa się w innych warunkach, to wprost trudno słuchać uważnie. Ludzie cenią to tylko, co zdobywają z trudem i każda uroczystość czy widowisko, po których są stratowani, wyrze na nich bez porównania większe wrażenie. Niepewność nastroju ustąpiła miejsca błogiemu zadowoleniu, które trochę mącił fakt, iż sąsiadem jego była uroczą damą, trzymającą na kolanach, ze względów oszczędnościowych dwunastoletniego urwisa, rozrzucającego lepkie papierki od cukierków naokoło z taką nieuwagą, że niektóre z nich padały na nieposzlakowanej czystości ubranie pana Ignacego.

Wyszedł prelegent. Był to młody człowiek. Barczysty brunet, o szerokich ramionach i łagodnym wyrazie oczu, o doskonale skrojonej marynarce, zrobił ogromne wrażenie na kobietach.

— Tylko trochę młodszy ode mnie — pomyślał pan Ignacy.

Prelegent zaczął mówić. Głos miał równy i dzwięczny, dykcję wyraźną. Można było go słuchać. Pan Ignacy postanowił uważać.

— Jak Boga kocham, Pawelska przyszła z tym swoim kapitanem — szeptał ktoś gorączkowo za jego plecami.

— Można się spotkać w Zachę-

cie, można na odczynie.

— Widzi pani jak blisko siedzą.

— Ta co pani chce. To bycza kobieta — odezwał się męski głos.

Wejrzenie pana Ignacego mimowoli skierowało się ku dorodnej parze i jakieś dziwne refleksje przyszły mu do głowy, gdy nagle prelegent, który dotąd zachowywał się spokojnie, huknął pięścią w stół i zawołał wielkim głosem:

Tak proszę państwa. Potężna flota powietrzna w przeciągu dwóch godzin może przelecieć przestrzeń, która dzieli naszą stolicę od granic państwa. Straszliwe skrzydła rzucą cień na nasze ulice, a ciszę zwyczajną zamąci huk motorów. Każdy z tych samolotów może udźwignąć olbrzymie ilości bomb. Bomby te są w stanie obrócić całe miasto w perzynę.

Mogą to być bomby gazowe. Są gazy duszące, ksztuśzące i zabójcze. Wystarczy zaczerpnąć raz powietrza, aby zginać. Istnieje straszliwy iperyt. Ta ciecz oleista jest straszliwą trucizną. Mała kropla strącona na ogon szczura, zabije go momentalnie. Odrobina przyczepiona do naszego obuwia, przeżera się przez skórę. Po kilku godzinach czujecie

swędzenie, potem nogi nasze czernieją i brzękną, a potem przychodzi koniec. —

Pan Ignacy poczuł wyraźne swędzenie. Spojrzał na swoje obuwie, do którego przykleiło się kilka papierków, rzuconych przez sąsiada. Odzrzucił je czempredzej i odetchnął. Tymczasem prelegent grzmiał dalej:

— Rekord samolotu 448 klm. na godzinę... w dwie godziny Paryż — Warszawa... Warszawa, stacja węzłowa płatowców... bezpieczeństwo może zapewnić tylko potężna własna flota powietrzna... bez instytutu aerodynamicznego nie będziemy mieć własnych płatowców... bez szkoły pilotów nie będzie miał kto niemi kierować... bez szkoły mechaników samolotowych, nikt nie naprawi tego co się zepsuje... sąsiedzi nasi mają potężną flotę powietrzną... budujmy taką samą... do tego celu prowadzi nas Liga Obrony Powietrznej Państwa... popierajcie L. O. P. P.

Potem nastąpiły przeżrocza.

Ujrzał pan Ignacy Balille, Potezy, Breguety, Morany, Albatrosy. Ujrzał Zeppeliny, Zodiaki, Parsevale, Coasta paltrollers. Ujrzał bomby dwa ra-

zy większe od człowieka, zasłony gąnowe i ich straszliwe działanie.

Chwiejnym i niepewnym krokiem poszedł do domu. Wychodząc, kupił kilka broszur i czytał je długo ku oburzeniu Marysi, nie gasząc światła. Wszystko prawda.

Przez całą noc przewracał się z boku na bok, a widziadła w maskach gazowych, przelatowały nad jego głową. Dopiero o świcie począł sobie wyobrazać jakby to było, gdyby on wynalazł najlepszy samolot, gdyby wzbil ponad inne. Nieprzyjaciele poddaliby się. Wzruszony minister podchodzi do niego na placu Saskim w obecności tysięcy ludzi...

Bierze go za rękę.

— Panie Migdaliński... — zaczyna mówić, i ciągnie go z całej siły.

— Co takiego?!

Pan Ignacy się zrywa.

— Już czas do biura—słyszy głos Marysi.

Od tego czasu pan Ignacy się zmienił. Kłapę marynarki ozdobił odznaką Ligi Obrony Powietrznej Państwa, zaprenumerował Lot Polski, czytał książki Abzółtowskiego, Małyszki, Grzędzińskiego i Garczyńskiego. W kawiarni mówił tylko o lotnictwie.

— Musimy być gotowi — mówił — ale dużo nam brakuje.

Autorytet jego wzrósł ogromnie, aż do dnia, który stał się przełomem w życiu pana Ignacego.

Przyjacieli jego właścicieli sklepu doskonale prosperującego, przyprowadził ze sobą siostrzeńca. Był to dzielny chłopiec, prosty jak świeca, kandydat do serca i ręki... ale to inna historia.



...widziadła w maskach gazowych pochylały się nad jego głową...



...właściciel sklepu przyprowadził ze sobą siostrzeńca.

Szczególnie ulubionym tematem przemówień pana Ignacego, była historia szczura.

— Uważacie — mówił — jedna małeńka, zupełnie nieznaczna, ledwie dostrzegalna kropla, upuszczona na ogon szczura — tu następowała dłuższa pauza — zabije go momentalnie.

Przy słowie „zabije” wydawał syk naśladujący ulatnianie się gazu z balonika dziecinnego, a przy „momentalnie”, spoglądał z wysiłkiem na swoich towarzyszy, tak, jakgdyby wrywał się beznadziejnie z rąk wojowniczych napastników. Poza tem słowo momentalnie powtarzał kilkakrotnie, coraz to ciszej. O ile był w wyjątkowym natchnieniu, wypijał dwa łyki pół czarnej, poczem silnym głosem mówił ostatni raz „momentalnie”, co wywoływało piorunujący efekt. Wreszcie zapadał w przygnębienie i na zapytania o stan naszego lotnictwa, odpowiadał beznadziejnie machnięciem ręki.

Spoglądano na niego z współczuciem i podziwem.

Tego dnia był wyjątkowo dobrze

nastrojony. Pomniejszył znacznie dawkę iperytu, powiększył szczura do rozmiarów wyborowego gatunku.

Efekt nie zawiódł, jak zwykle.

A cóż my? — zapytał ktoś strwożony.

Oczywiście nastąpiło rozpaczliwe machnięcie ręki, jednocześnie ze spokojnem oświadczeniem: Nie jest z nami tak źle.

Słowa te były tak nieoczekiwane, że pan Ignacy drgnął. Spojrzał na mówiącego. Naturalnie był to intruz przy stoliku, sprowadzony przez swego wuja, właściciela sklepu. Gość ten wyprostował się, zaczerwienił i powtórzył słabszym nieco głosem: Istotnie — nie jest z nami tak źle.

Autorytet pana Ignacego prysł. Ostatecznie, codziennie traktował swych towarzyszy zdechłym szcurem, wojną powietrzną i stawiał jaknajczarniejsze horoskopy. Natura ludzka nie znosi terroru.

W atmosferze narodowej troski, którą codziennie wnosił, trudno było opowiedzieć, jak to Kleofas wrócił nieoczekiwanie do domu i co zastał — opowiedzieć ostatni kawał, czy zwierzyć się z zamiarem kupna dolarów. Podniosły się głowy i kilka wejrzeń padło na stężale oblicze Ignacego. Czuł on co się dzieje. Uśmiechnął się z dobrotliwą ironją, i rzucił tonem niesłychanej wyższości.

— Może dobrze dzieje się nawet, tylko nie u nas. Nie mamy instytutu aerodynamicznego, nie mamy lotnisk, pilotów, mechaników — właściwie niczego. Być może zresztą, że to dobrze. Wolałbym coprawda nie siedzieć w Warszawie w czasie wojny. O ile się nie mylę, wystarczą dwie godziny, aby samolot obładowany bombami z trującymi gazami doleciał tu od granicy.

Pewny był, że ten dobrze wymierzony cios obali przeciwnika. Zawiódł się. Smarkacz uśmiechnął się tylko i zauważył:

— To było bardzo dawno. Obecnie Liga Obrony Powietrznej Państwa,

której odznakę pan nosi, wybudowała przy Politechnice warszawskiej instytut aerodynamiczny. Kosztowało to Ligę przeszło pół miliona złotych. Dzięki temu, że posiadamy instytut, polscy inżynierowie będą mogli zrobić wszystkie doświadczenia i nareszcie zbudujemy polski płatowiec. Cztery fabryki, które posiadamy, przestaną budować Balille, Potezy i Hanrioty i zaczną budować samoloty zaprojektowane przez polskiego technika.

— Bez motorów — rzucił pan Ignacy.

— Fabryka motorów w Okęciu pod Warszawą, będzie wkrótce uruchomiona. A że i pod tym względem nie brak nam wynalazczości, tego najlepszym dowodem jest motor nowej konstrukcji, wynaleziony przez inżyniera Brzeskiego. Fachowcy oglądali go już i wystawili mu jaknajlepsze świadectwo. Piloci też się znajdują. Oprócz tych, których szkoli wojsko, Liga uruchomiła w Poznaniu szkołę pilotów, którą w tym roku ukończy pięćdziesięciu uczni, a na rok przyszły ma ich być siedemdziesięciu pięciu. W Bydgoszczy prowadzi Liga początkowy kurs mechaników lotniczych, który zapewne rozrośnie się w specjalną szkołę. Trzeba dodać, że Ministerstwo Oświecenia rozumie doskonale znaczenie tej pracy. Dzięki niemu, niektóre szkoły wprowadziły u siebie specjalne kursy. W innych szkołach rozwija się modelarstwo, prowadzone przez instruktorów, którzy ukończyli kurs instruktorski, zorganizowany przez Główny Zarząd Ligi.

W Łodzi tamtejszy oddział Ligi wybudował lotnisko i hangar, wydając na ten cel do 200.000 złotych. Teraz

buduje się lotnisko w Katowicach, kosztem 300.000 zł. Pozaatem robi się mnóstwo drobnych napozór rzeczy, które jednak składają się na imponującą całość. W roku 1925 były wystawy lotnicze w Warszawie, Poznaniu i Bydgoszczy. Było przeszło tysiąc odczytów...

Wymowa młodzieńcza stawała się niebezpieczna. Widać było, że zanosi się na dłuższy wykład. Wykłady kawiarniane są przeważnie bardzo pociągające dla wykładających, jednak słuchacze zapatrują się na to zwykle inaczej.

Grzywicki, jeden z obecnych przy stoliku uważał się za powołanego do zapobieżenia dobrym skutkom wybuchu młodzieńczego entuzjazmu.

— Wiem — mówił — wiem, że Liga mnóstwo zrobiła.

— To stare rzeczy — dodał emeryt Starski.

Krzypicki, który zwykle spóźniał się do kawiarni i którego nigdy nie dopuszczano do głosu, a który nadomiar złego niedosłyszał, z zasady był malkontentem. Skrzywił się pogardliwie i machnął ręką.

Zapamiętały mówca osłupiał. Był nazbyt młodym, aby rozumieć, że cechą dojrzałości jest solidarne pokrycie milczeniem nadużycia, które może stać się przedmiotem wewnętrz-



zakomunikował to Marysi...

nych rozrachunków. Na tem właśnie polega przewaga wieku dojrzałego. Młodzi kłócą się zapamiętale, wykrzykując głośno o swych błędach. Wśród starszych postępowanie takie jest rzadkim wyjątkiem. Na ogół uważają, że słusniejszą jest obrona wspólnego sztandaru, który jest symbolem idei, że po roku życia, automatycznie głupstw się nie mówi i nie robi. Ten wspólny front jest konieczny, zwłaszcza wobec formalnego ataku młodości.

Nie zrozumiał tego młodzieniec, lecz pojął doskonale Ignacy. W pojedynku z przeciwnikiem wygrał, lecz przegrał swą sprawę życiową. Rola jego, autorytet i sława, pozyskana dzięki wysłuchaniu jednego odczytu prysły. Jakże przeklinał teraz swe lenistwo: nie czytanie artykułów w *Locie* Polskim i niewysłuchanie nowych choćby dwóch odczytów. Nie pozostało mu nic na świecie, oprócz biura i Marysi.

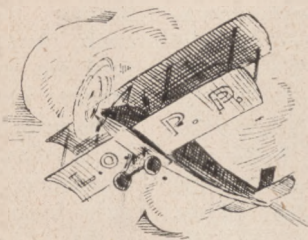
Myśli te były tak nieznośne, że pan Ignacy nie zauważył, że strzepute popiół papierosa do szklanki „pół-czarnej”.

— Dziwnie pan rozłargniony — zauważył ktoś złośliwie.

Ten cios spełnił szalegoryczy.

— Mam jutro jechać do Gdańska samolotem — odpowiedział machinalnie.

W tej chwili ocknął się. Co ja powiedziałem?! Skąd mi to przyszło do głowy?!



Spojrzał dokoła. Twarze były nieruchome.

— Nie wierzą — pomyślał.

Pożegnał się i wyszedł.

— Pojadę — upierał się — muszę pojechać.

Zakomunikował to Marysi.

Po upływie pół godziny wiedziała o tem cała kamienica i część ulicy. Pozatem tajemnica była ściśła.

Nazajutrz jako członek L. O. P. P., pan Ignacy dostał zniżkowy bilet do Gdańska.

— Śmieszne zwyczaje — mówił w kawiarni dwa dni później, traktując gdańskimi papierosami — tłumaczyłem tyle razy, że podpisywanie zaświadczeń o zrzekaniu się odpowiedzialności za przewóz, odbije się fatalnie na powietrznej komunikacji. Przecież tchórzy jest dosyć, którzy nie wierzą, że lot aeroplanem jest nie tylko przyjemniejszy, ale i bezpieczniejszy, niż jazda koleją. Patrzą... —

Przy tych słowach rzucił nie dbale odcinek biletu na stół.

Spojrzał wkoło siebie — wszyscy kolejno obejrzeli bilet i oddali go bohaterowi.

— To niepotrzebne — oświadczył — dawniej je zbierałem, ale teraz... —

Ostatni frazes był granitowym fundamentem pod gmachem jego sławy. Na szereg lat ma pan Ignacy możność opowiadania o locie, porównań do lotu i aluzji. Szkoda, że stał się nieufnym i podejrzli-



A to pewnie mój pan lata!

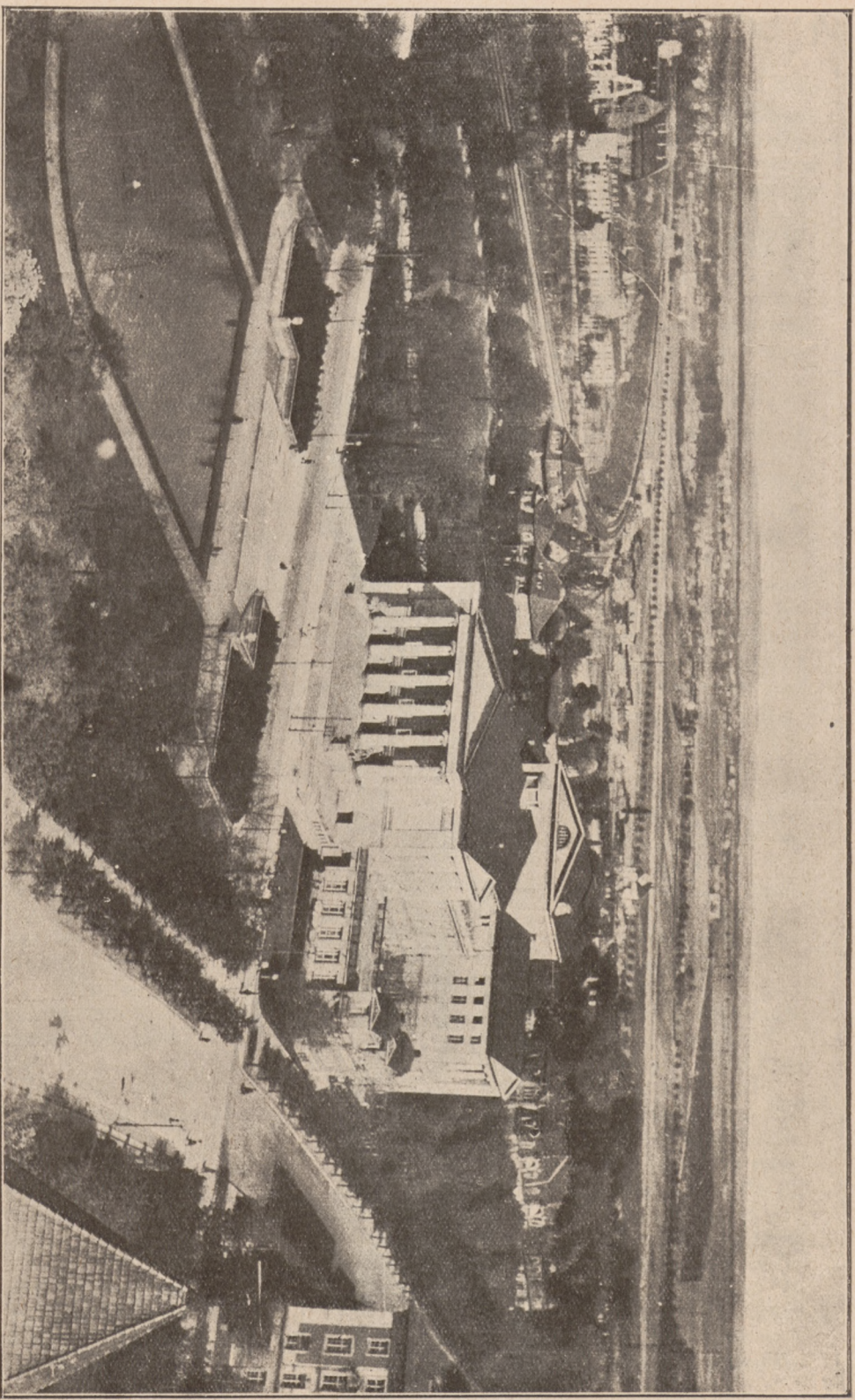
wym — zwłaszcza wobec nowych współbieszczadników. Zato Marysia wysoko podnosi laur jego chwały i wielokroć motor płatowca zahuczy nad jej głową, spogląda w górę i powiada:

— A to pewno mój pan lata!
Z przeszłości jedno tylko pozosta-

ło. O ile ktoś zaczyna mówić o lotnictwie, a broń Boże narzeka, pan Ignacy poważnieje i mówi:

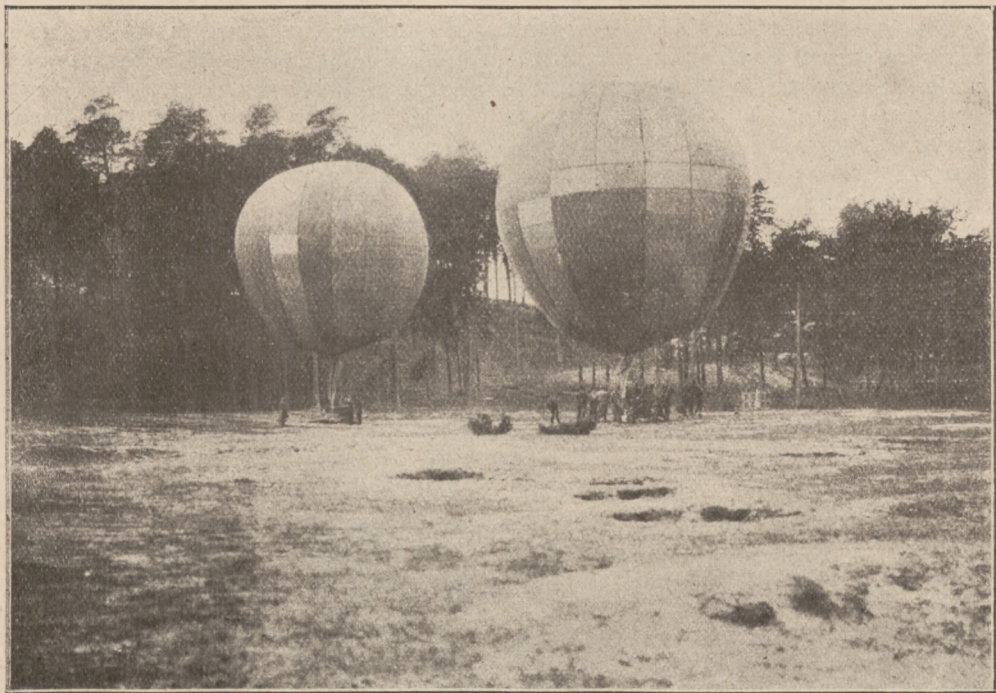
— Zapomniał pan o Lidze Obrony Powietrznej Państwa. Niech pan będzie spokojny — pracujemy.





Teatr miejski w Poznaniu

Fotografia Ichniaca



2 balony wolne przed startem w Jabłonie

Sport balonowy

napisał F. Bołsunowski

Niezwykły rozwój i postęp lotnictwa doby obecnej, nie zmniejszył bynajmniej zainteresowania się sportem balonowym.

Najtańszym i najprostszym balonem sportowym, pozostaje nadal balon wolny, ten pradziadek wszystkich aparatów żeglugi powietrznej, na którym człowiek wykonał pierwszy swój lot.

Balony wolne o kształcie kulistym, są przeznaczone do lotów z prądem powietrza. Ponieważ prądy powietrzne na różnych wysokościach mają najczęściej rozmaite kierunki, przeto, utrzymując balon podczas lotu na odpowiedniej wysokości, można lecieć w pożądanym kierunku. Najniższa warstwa atmosfery kuli ziem-

skiej, w której odbywa się współczesna żegluga powietrzna, znajduje się stale w pewnym ruchu, powodującym szereg zmian i zjawisk atmosferycznych. Kierunki i szybkości posuwania się poszczególnych prądów powietrznych, mogą być z łatwością każdorazowo określane przed odlotem balonu, dzięki pomiarom aerologicznym na miejscu startu, oraz wiadomościom z posterunków meteorologicznych w kraju i poza jego granicami.

Wszelkie inne obserwacje meteorologiczne mogą też dać pewne dane dla ułożenia zapowiedzi pogody na przeciąg mniej więcej doby.

Są to wiadomości niezbędne, przed każdym lotem na balonie wolnym.

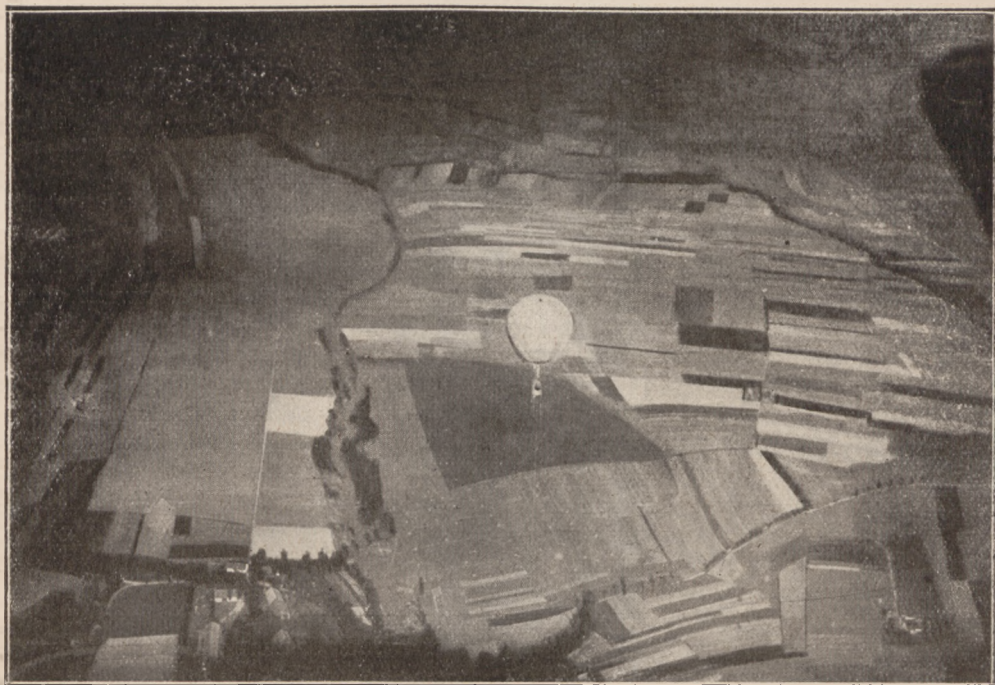
Na układ prądów powietrznych wpływa szereg zjawisk i zmian, zmieniających często w dużej mierze cały układ stanu atmosfery, lub zmieniających go tylko częściowo nad pewnym terenem.

Lokalne zmiany powstają wskutek obrotu ziemi, nierównomiernego nagrzewania powierzchni ziemi promieniami słonecznymi, nieregularnego ukształtowania i położenia wód, łądów, pofałdowania powierzchni ziemi i różnorodności jej składu, różnicy głębokości wód, stopnia zalesienia i t. p. Pilota balonu wolnego oczekuje w atmosferze szereg niespodzianek. W celu utrzymania się w kierunku prostej linii do obranego celu, jest on zmuszony podczas lotu do stałego manewrowania, unikania lejów powietrznych, prądów lokalnych nad poszczególnymi terenami i zjawisk wynikających z częściowych zachmurzeń. Manewrowanie takie powinno być bardzo do-

kładne, w przeciwnym razie grozi mu natychmiastowe zboczenie z wybranego kierunku lotu. Pilot utrzymuje balon w danej warstwie atmosfery, tylko przez równoważenie, co się osiąga odpowiednim zużyciem balastu (piasku).

Umiejętne użycie balastu jest jedną rękojmnią wykonania zadania pilota. Pilot winien znać też bardzo dobrze i fizykalne właściwości gazu, którym napełniono powłokę balonu. Najmniejsze opóźnienie manipulacji z balastem, lub mała różnica zużycia takowego, równająca się często kilkuset gramom, powoduje natychmiastowe wyprowadzenie balonu z równowagi, a w dalszym wyniku, zmianę wysokości poziomu lotu i zmianę kierunku.

Oprócz ścisłych wiadomości meteorologicznych, fizykalnych, stanu atmosfery i gazu w balonie, pilot balonów wolnych powinien być też dobrym obserwatorem, szybko orientu-



Balon wolny na wysokości 1800 m.



*Zdobywca nagrody w 1925 r.
balon „Poznań” po starcie*

jącym się na mapie. Loty na balonach wolnych z punktu widzenia trudności wykonania zadania, w porównaniu z lotami na wszelkich innych aparatach żeglugi powietrznej, należą do najtrudniejszych.

Pilotowaniem balonów wolnych wyrabia się szereg ludzi doskonale oznajmionych z właściwościami atmosfery przy absolutnej ciszy, to jest w warunkach zupełnie odmiennych, jakie mogą być przy lotach na aparatach z silnikami (płatowce i sterowce).

Żegluga w przestworzach atmosfery, oparta jedynie na ściślejszej znajomości takowej, jest doskonałą przedwstępną szkołą dla przyszłych pilotów wszelkich innych sposobów żeglugi powietrznej, płatowcowej, sterowcowej, a głównie przy nauce lotu ślizgowego.

W dziedzinie badań aerodynamicz-

nych i działów jej pokrewnych, loty na balonach wolnych mogą być też w niektórych wypadkach bardzo pomocnymi. W koszu balonu wolnego można też sprawdzać działanie szeregu przyrządów aeronawigacyjnych i meteorologicznych.

Na zachodzie, pomimo tak wysokiego rozwoju lotnictwa w ścisłym znaczeniu tego słowa, loty na balonach wolnych, są popierane przez rządy, wojskowość i wszelkie instytucje społeczno-lotnicze, jak aerokluby, organizacje lotniczo - sportowe itd.

Szereg zawodów balonów wolnych, organizowanych licznie na zachodzie, zainteresowanie nimi szerokich sfer mas społecznych, rywalizacja o pierwszeństwo przedstawicieli poszczególnych państw na zawodach międzynarodowych, daje możliwość zastosowania lotu na balonach wolnych

jako sportu szlachetnego, zdrowego, wyrabiającego szereg ludzi śmiałych, pewnych, dobrze oznajmionych z właściwością atmosfery kuli ziemskiej i wszelkimi zmianami zachodzącymi w takowej. Są to wiadomości ściśle związane z postępem i rozwojem wszystkich rodzajów żeglugi powietrznej. Może w krótkim już czasie ludzkość, dzięki postępom techniki i kultury, dojdzie do tak znacznych zdobyczy w dziedzinie rozwoju żeglugi powietrznej, że loty na płatowcach lub innych im pokrewnych aparatach będą dostępne najszerszym masom ludności. Wtedy balon wolny będzie zamieniony innym aparatem, jednakże jeszcze obecnie nie może być zaniedbany i tylko u ludzi nie-uświadomionych w dziedzinie rozwoju i postępu żeglugi powietrznej, może spotkać niezrozumienie swego istnienia i zastosowania.

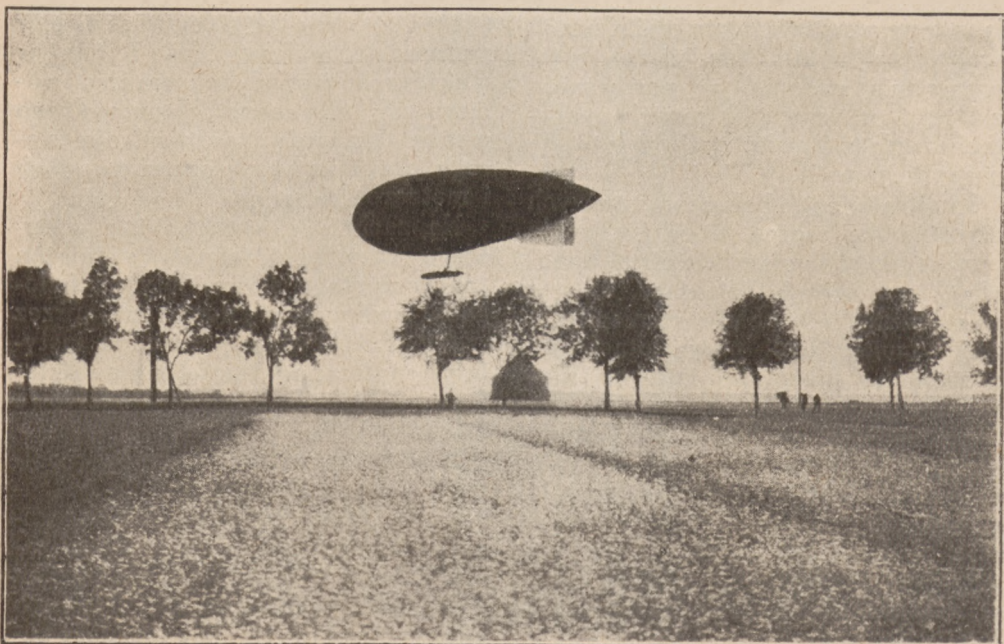
Loty na balonach wolnych mają niezwykle urok. Niczem niezamącona cisza w przestworzach, przerywa-

na jedynie głuchemi odgłosami dochodzącymi z ziemi, dziwnie kojąco działa na załogę kosza. Płynąc w obłokach, oddychając powietrzem czystym, w absolutnej ciszy, mając pod sobą zmieniające się szybko krajobrazy terenu ziemi, mimowoli się odradza i chwilowo pozbywa tych wszystkich drobnych trosk, tego chaosu i hałasu, w którym żyje współczesny człowiek.

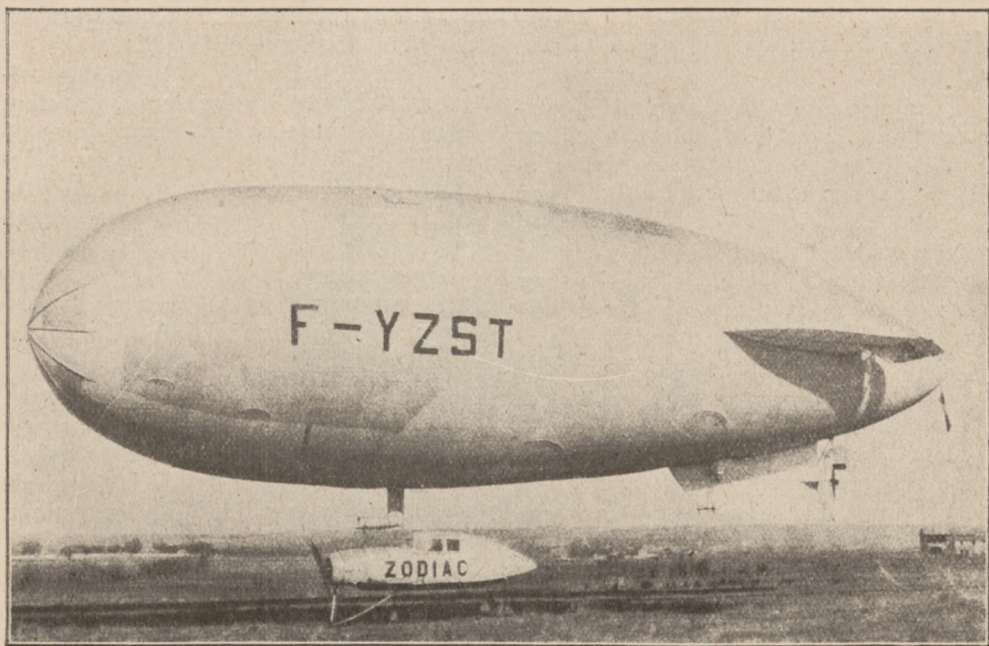
Piękno lotów na balonach wolnych nie daje się zapomnieć. Jedyną ujemną cechą jest przymusowy powrót, który przypomina rzeczywistość naszego współczesnego życia.

Zainteresowanym w szczegółach podajemy do użytku dzieło francuskiego aeronauty Tissandier, opisujące 40 dokonanych przez niego lotów na balonach wolnych w końcu XIX stulecia (Tissandier „Histoire de mes ascensions”).

Sterowce, szczególnie małe, typu sportowego, w zależności od stopnia ich udoskonalenia i dostępności dla



Sterowiec „Lech” ląduje w Winiarach pod Poznaniem



Sterowiec sportowy „Zodiac” 1200 m.³

szerszego ogółu społeczeństwa, są na Zachodzie także coraz to więcej używane dla celów sportowych lub turystycznych.

Pierwsze próby sportowego zastosowania małych sterowców, jeszcze w zaraniu ich powstania, gdy brak wiadomości aerodynamicznych i odpowiednich silników napędowych pozwalał używać pierwsze modele sterowców jedynie w wyjątkowo sprzyjających wypadkach atmosferycznych i to na bardzo krótki okres lotu, są zasługą znanego w historii lotnictwa brazylijczyka, Santos Dumonta, który buduje w latach 1900—1903 r. szereg małych sterowców, a nawet na jednym z nich udaje się na wyciągi w Long-Champs.

W latach następnych zastosowanie sterowców z powodu wielkich kosztów ich budowy i eksploatacji było dostępne jedynie większym aeroklubom lub towarzystwom sportowo-lotn. („Victoria-Luisa” i „Hansa” w

Niemczech w ostatnich latach przed wojną światową).

Po unormowaniu stosunków powojennych, społeczeństwo na Zachodzie coraz częściej zwraca uwagę na sterowce. Szereg artykułów fachowych (np. fr. inż. Sabatier, niem. inż. dr. Eckner'a) zachęcają do stosowania sterowców nie tylko w celach transportowych, lecz turystycznych i sportowych.

Niemcy zapoczątkowują od 1919 r. regularne turystyczne loty na małym sztywnym sterowcu (typu Zeppelin) pod nazwą „Bodensee”. Sterowiec ten znakomicie wykonywał swą służbę i stale lata przez kilka miesięcy według ścisłego rozkładu jazdy między Friedrichshafen a Berlinem, przewożąc żądnych wrażeń turystów i bagaż. Konieczność oddania go sprzymierzonym na podstawie Traktatu Wersalskiego, przerywa tak świetnie zapoczątkowane regularne turystyczne loty.

Dla sportowych celów jest to jednakże obecnie typ sterowca za kosztowny.

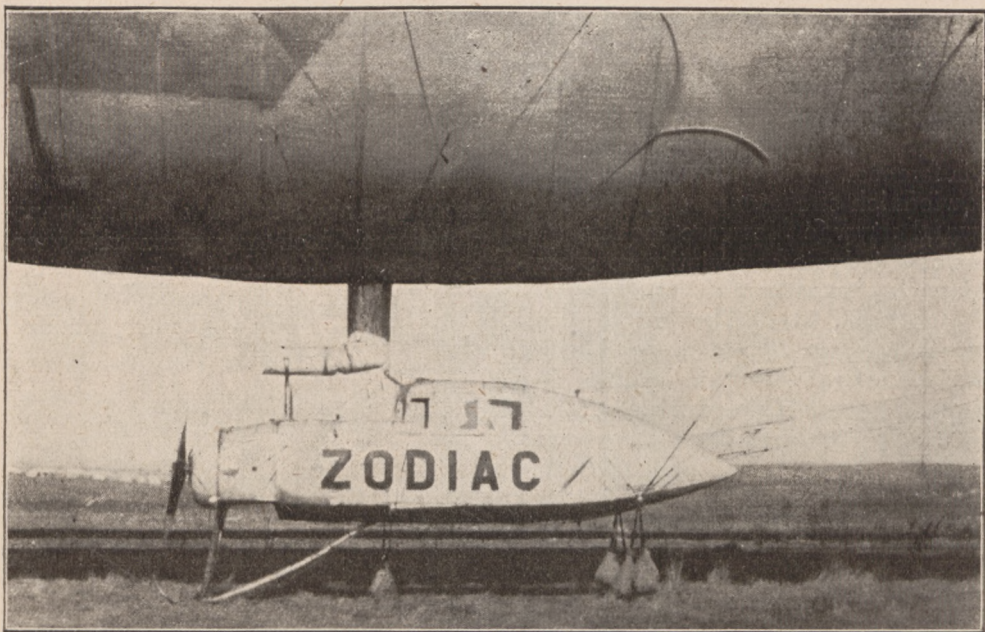
Francuska firma „Zodiac” rozstrzygnęła kwestję budując specjalny model sterowca dla celów sportowych. Jest to b. mały sterowiec, typu luźnego (objętość gazowej powłoki wynosi 1200 m.³, długość 36 metrów, średnica 8 mtr. 5 cm. Gondola drewniana, posiada silnik Anzani o mocy 80—95 MK. Załogę gondoli stanowi pilot i 1 pasażer. Szybkość przeciętna do 80 km. na godzinę. Zapas paliwa i smarów umożliwia lot na 5 godzin. Sterowce tego typu wykazały ogromną sprawność w locie przy manewrowaniu na ziemi (wzlot, lądowanie, wyprowadzenie i wprowadzenie do hangaru) obchodzą się prawie że bez postronnej obsługi a koszt eksploatacji obniżają się też z powodu możliwości zabiwakowania sterowca w przygodnych wgłębieniach terenu lub w lesie, odpada też konieczność budowy dla nich bardzo kosztownych

urządzeń portowych, tak niezbędnych dla dużych sterowców.

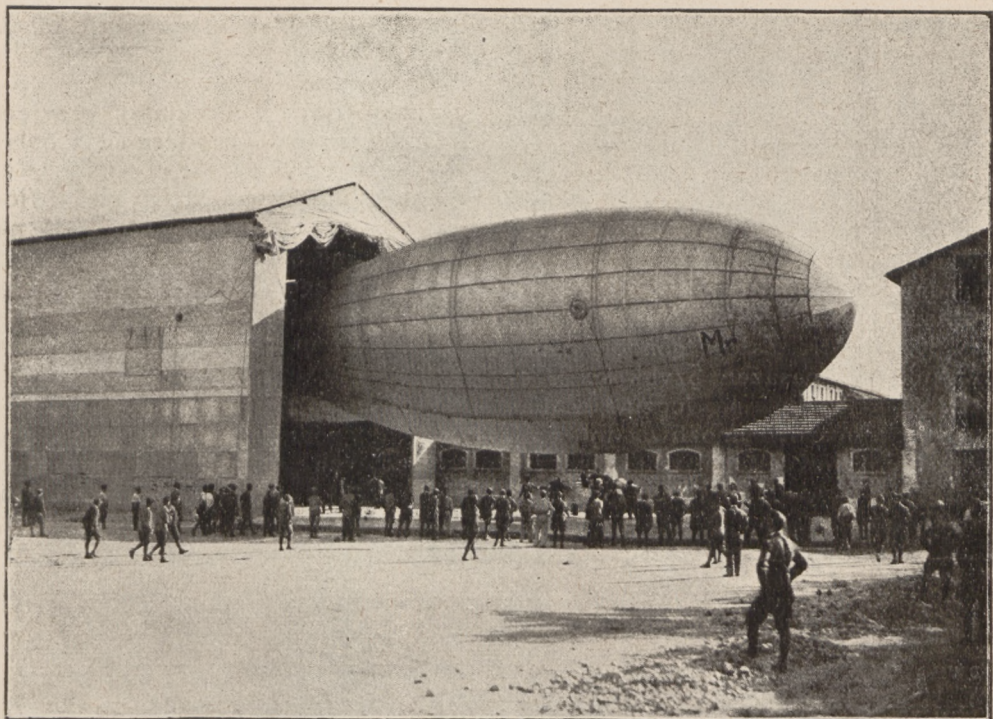
Obecnie w Paryżu stosują tego rodzaju sterowce dla reklamy, przytem koszt eksploatacji włącznie z onłatą pilota opłacają się sownie. Reklamę nalepia się w dzień na powłokę sterowca, a w nocy rzuca się na nią świetlne obrazy i napisy.

Oprócz tego zastosowania, sterowce sportowe „Zodiac” są też w większym użyciu specjalnie dla lotów sportowych.

Proby wyszukiwania posuwających się pod powierzchnią wody ławic ryb, wędrujących w pewnych okresach roku (np. śledzi) z gondoli sterowca dały świetne wyniki. Wiadomem jest, że z wysokości 500 — 1000 m. w zależności od zabarwienia wody, oświetlenia i stanu atmosferycznego, można b. dokładnie obserwować głębię morza na głębokości 20 metr. Sterowiec, którego szybkość może być regulowana bez obawy opadnięcia, jak to ma miejsce u płatowca, znakomi-



Gondola sportowego sterowca „Zodiac” 1200 m.³



Wyrowadzenie z szopy sterowca włoskiego półsztywnego typ „Mr” 1000 m.³

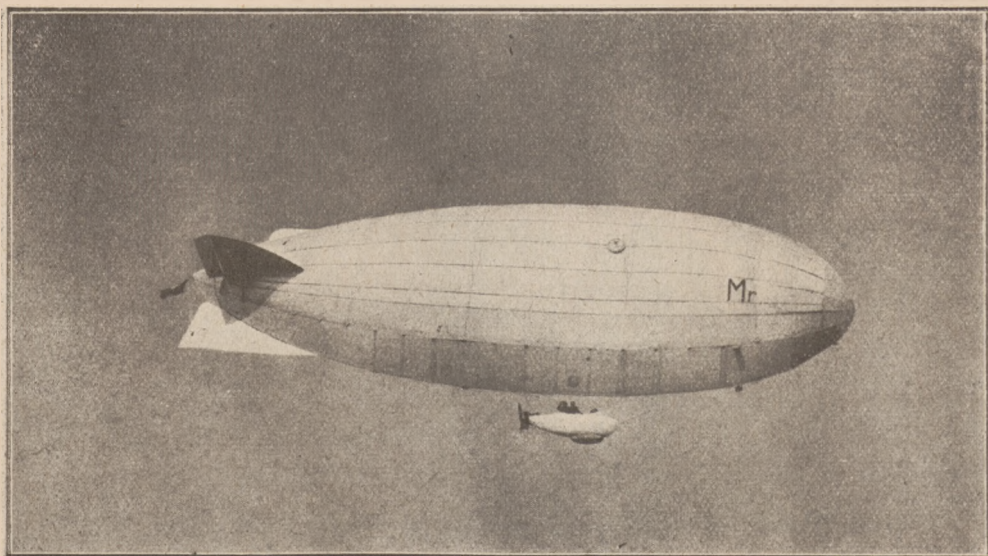
cie nadaje się dla tych celów. Amerykanie przeprowadzili jeszcze dalej idące próby, mianowicie wprost lądują na obranym punkcie powierzchni jeziora i z gondoli sterowca łowią ryby.

Dla celów sportowych i reklamowych, włoska firma „Stabilimento Constructioni Aeronautica”—według projektu inż. Nobile, zbudowała szereg małych półsztywnych sterowców. Najmniejsze modele tego typu pod nazwą „Mr”, objętości 1000 m.³, unoszą 450 kg. ładunku pożytecznego, co stanowi 41% ogólnej siły podnośnej sterowca przy szybkości 72—80 km. na godzinę. Gondola w kształcie krótkiej łódki, jest zaopatrzona u dołu w amortyzujący popławek, umożliwiając lądowanie na powierzchni wody. Silnik typu Anzani 6 cylindrów—o sile 40 MK.), może unieść pilota i 2 pasażerów.

O ile załogę stanowi tylko sam pilot, długość lotu wynosi do 20—25 godzin, przy tych warunkach obciążenia gondoli sterowiec może osiągnąć pułap do 3.300 m. wysokości.

Dla celów sportowych, małe sterowce typu „Mr” są obecnie prawie idealnym modelem. Bardzo zwrotne w locie, jednocześnie nie wymagają dużo miejsca do ładowania (placyk 30 × 70 m.), pod względem urządzeń portowych są bardzo niewybredne i dają się łatwo biwakować w warunkach przygodnych, jak i małe sportowe sterowce „Zodiac”. Włosi stosują sterowce „Mr” dla celów sportowych i reklamowych.

Ostatnim modelem najmniejszym jest sterowiec półsztywny „Mr” objętości tylko 600 m.³ (to jest prawie o połowę mniejszy od zwykłego balonu na uwięzi). Sterowce te wykonują prawie codziennie bardzo efek-



Lot włoskiego pólztywnego sportowego sterowca typ „Mr“ 1000 m.³

towne nocne loty nad Wiecznem Miastem, przykuwając zainteresowanie tłumów szeregiem świetlnych reklam, rzucanych z gondoli na powłokę sterowca.

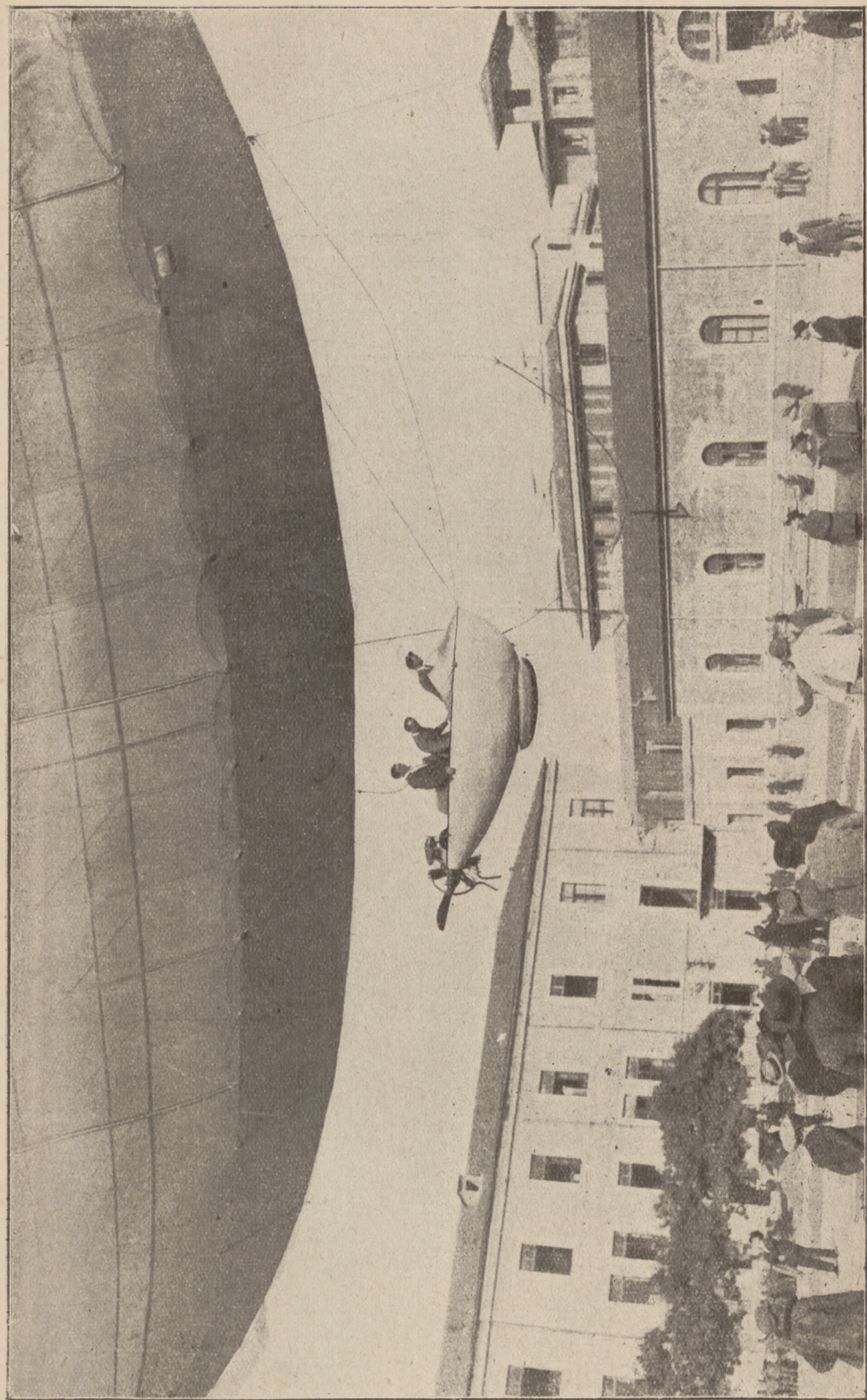
Niemniej, pomimo tak daleko idących udoskonaleń technicznych, sterowce nawet sportowe są jeszcze za drogie dla szerszego ogółu. Cena sportowego sterowca „Mr“ wynosi 32 — 25.000 złotych, a zastosowanie niepalnego helu zabezpiecza w zupełności od katastrofy. — Cena, jak widzimy, nie wyższa od ceny płatowca.

Należy nadmienić, że najnowsze poszukiwania i próby dowiodły, że w celu zabezpieczenia się od wybuchu zapalenia) niekoniecznym jest wypełniać powłoki balonów sterowych czystym helum. Wystarczy ku temu

mieszanina 1 części helu i 27 cz. wodoru (według objętości), co obniży znacznie koszty eksploatacji, ponieważ hel w stosunku do wodoru jest droższy.

Polska znajduje się w wyjątkowych warunkach, umożliwiających w przyszłości rozwinięcie sportu i turystyki sterowcowej, ponieważ posiada przeważnie teren płaski, stosunkowo mało zaludniony i z małą siecią dróg komunikacyjnych (szosy, koleje żelazne, uregulowane drogi wodne i t. d.). Jednocześnie poszukiwania helu prowadzone u nas przez prof. Klinga, dały zupełnie zadawalające wyniki dla eksploatacji tego gazu sposobem przemysłowym.

Trzeba tylko większego zainteresowania się ogółu, a także i kapitałów na ten cel.



Sportowy półgazowy sterowiec włoski typ „L.F.” 1000 m³.

Wytwórnia wiatrów

napisał Estewi.

Po wielu wysiłkach poważnych, po przezwyciężeniu wręcz niechętej nieraz opinii ludzi, niezających sobie dostatecznie sprawy z ważności tego epokowego zamierzenia, idea instytutu aerodynamicznego przyoblekła się wreszcie w ciało potężnego gmachu, który stanął dzięki ofiarności społeczeństwa polskiego i niestrudzonej pracy Ligi Obrony Powietrznej Państwa.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że od tej chwili, kiedy nasz pierwszy instytut aerodynamiczny rozpocznie normalną działalność, rozpocznie się również okres potężnego rozkwitu lotnictwa polskiego, które pozbawione dotychczas na szeroką miarę zakreślonych badań doświadczalnych, nie mogło zatoczyć szer-

szych kręgów. Nie należy bynajmniej wywnioskować z tego, że zadania tej instytucji podlegają przedewszystkiem celom praktycznym. Działalność instytutu aerodynamicznego będzie jak najściślej naukowa, ale rezultaty praktyczne muszą nastąpić niewątpliwie.

Profesor Witoszyński, twórca i kierownik tej doniosłej instytucji, powiedział mi między innymi:

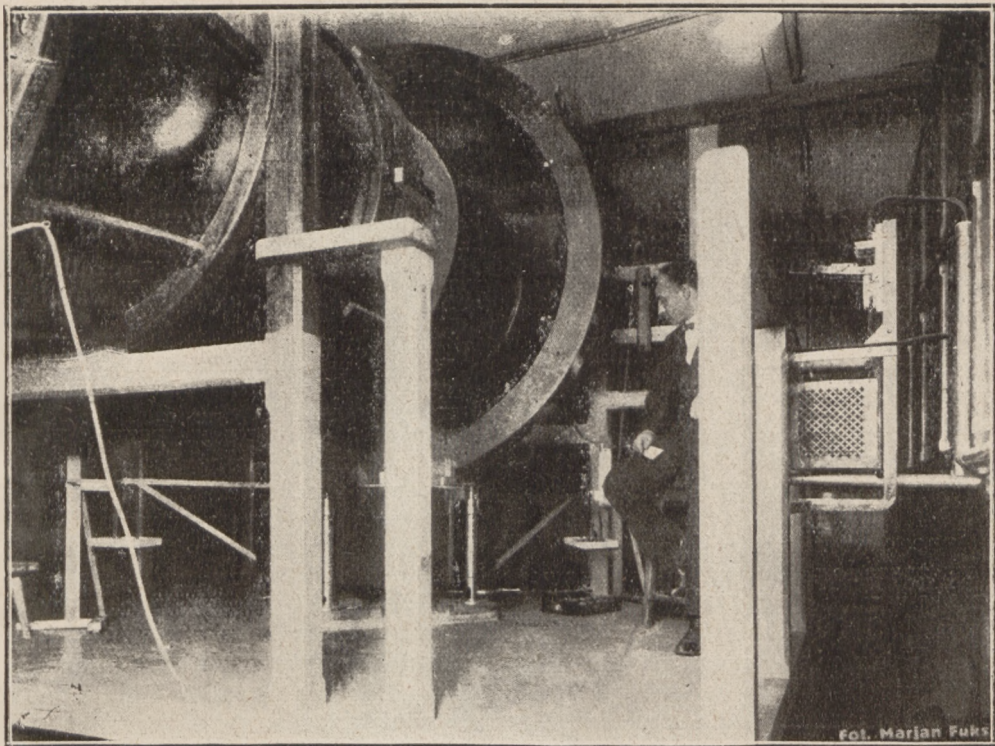
— Wyobrażam sobie, że nasza instytucja przyczyni się w poważnej mierze do powstania samolotu polskiego!

— Co to znaczy samolot polski. Czy są wogóle jakieś samoloty narodowe?

— Samolot polski — odpowiedział profesor — to samolot dostosowany



Gmach Instytutu Aerodynamicznego podczas budowy



*Tymczasowe laboratorium aerodynamiczne w Polit. Warsz.
Pomost pomiarowy*

do naszych warunków atmosferycznych i geograficznych, a więc typ samolotu najbardziej nadającego się do używania go w Polsce.

Jest to rozumowanie bardzo logiczne i na tym przykładzie każdy laik musi zrozumieć, jak bardzo ważne są tego rodzaju badania.

Celem jednak niniejszego artykułu jest, aby laik zrozumiał jeszcze i coś więcej, a mianowicie istotę badań aerodynamicznych.

Potrzeba badań tego rodzaju wyłoniła się zaraz w zaraniu lotnictwa. Pierwszy, słynny inżynier francuski Eiffel urządził małe laboratorium, w którym przeprowadzali doświadczenia wszyscy ówczesni najsłynniejsi lotnicy. Z coraz szybszym opanowywaniem powietrza rozwijały się również i badania aerodynamiczne. Za-

gadnienie zależności pomiędzy oporem i kształtem stawało się coraz bardziej aktualne i coraz bardziej skomplikowane.

Rozumiejąc doniosłe znaczenie, jakie mają laboratoria aerodynamiczne dla rozwoju techniki lotniczej, rządy wielkich państw nie szczędziły kosztów na prace badawcze. Zwłaszcza potrzeby wojenne zmuszały do intensywnego ruchu w tym kierunku. Oto najważniejsze dziś instytucje tego rodzaju w różnych krajach:

1. Anglja: olbrzymi instytut „Royal Aircraft Factory” utrzymywany przez państwo.

2. Ameryka: Wojskowy instytut „Air Service Engineering Division”, Mc. Cooc Field; Dayton w stanie Ohio, ustępuje co do wielkości poprzedniemu, pomimo

to imponuje rozmachem i kosztownością swoich urządzeń. Obok olbrzymiego lotniska cały kompleks budynków, mieszczących w sobie laboratorja, pracownie, warsztaty i biura. Badania i doświadczenia prowadzone są we wszystkich dziedzinach techniki, fizyki i chemji, mających zastosowanie w budowie aeroplanów, motorów, śmigieł, broni i t. d.

Sztuczny wiatr otrzymuje się tam w dwóch rurach aerodynamicznych, pędzonych motorami 1000 i 250 KM; szybkość strumienia powietrza wynosi 380 i 680 km/godz. Po wojnie zredukowano zatrudniony tam personel, tak że obecnie pracuje tylko 1200 osób.

Inne dwa laboratorja znajdują się pod zarządem marynarki wojkowej w Nawy Yard, Washington oraz U. S. Marine Corps.

3. Francja: oprócz znanego laboratorjum Eiffła w Paryżu, pracuje tam jeszcze wiele innych.

4. Włochy: jedno laboratorjum w Rzymie, drugie zbudowano w 1918 r. w Turynie.

5. Rosja: przed wojną zbudowano laboratorjum w Kuczynie i w Moskwie. Obecnie obydwie te laboratorja są czynne — sądząc z powiększenia eskadr lotniczych.

6. Niemcy: Państwowy instytut doświadczalny w Berlinie zatrudnia około 40 teoretyków, rachmistrzów i asystentów oraz 60 robotników fachowych. Za nim najpoważniejszym jest laborat. Prandtla w Getyndze, zatrudniająca po wojnie 15 osób personelu. Pozatem przy różnych politechnikach i stowarzyszeniach naukowych czynnych jest jeszcze 7 laboratorjów różnego typu.

Polska nie posiadała dotychczas nic więcej, prócz skromnego oddziału lotniczego przy wydziale mechanicznym politechniki warszawskiej. Ten pierwszy warsztat pracy rozporządzał nader skromnymi środkami, a jego przyrządy wykonały centralne

warsztaty lotnicze w Mokotowie. Mimo to rozwinęto tam działalność bardzo żywą i interesującą. Świadczy o tem choćby i to, że instytucje naukowe różnych krajów zwracały się do prof. Witoszyńskiego z prośbą o dokładne dane co do metod i sposobów badań oddziału lotniczego warszawskiego. Ta pracownia skromna jest tedy, jakby załączkiem wspaniałej instytucji, która niebawem zostanie już zupełnie urządzona.

Wiedziony ciekawością postanowiłem ją zwiedzić.

Profesor Witoszyński przyjął mnie nader uprzejmie. Już z pierwszych jego słów widać, że jest to człowiek przejęty swoją ideą w zupełności — rodzaj szlachetnego poświęcenia się, które musi wytworzyć rzetelną pracę naukową.

Na moją prośbę prof. Witoszyński po kilku wstępnych objaśnieniach prowadzi mnie do laboratorjum obok się znajdującego.

Pierwsze wrażenie: pracownia jakiegoś średniowiecznego cudotwórcy, gabinet doktora Fausta. Coś pomiędzy czarną magią a poszukiwaniem złota.

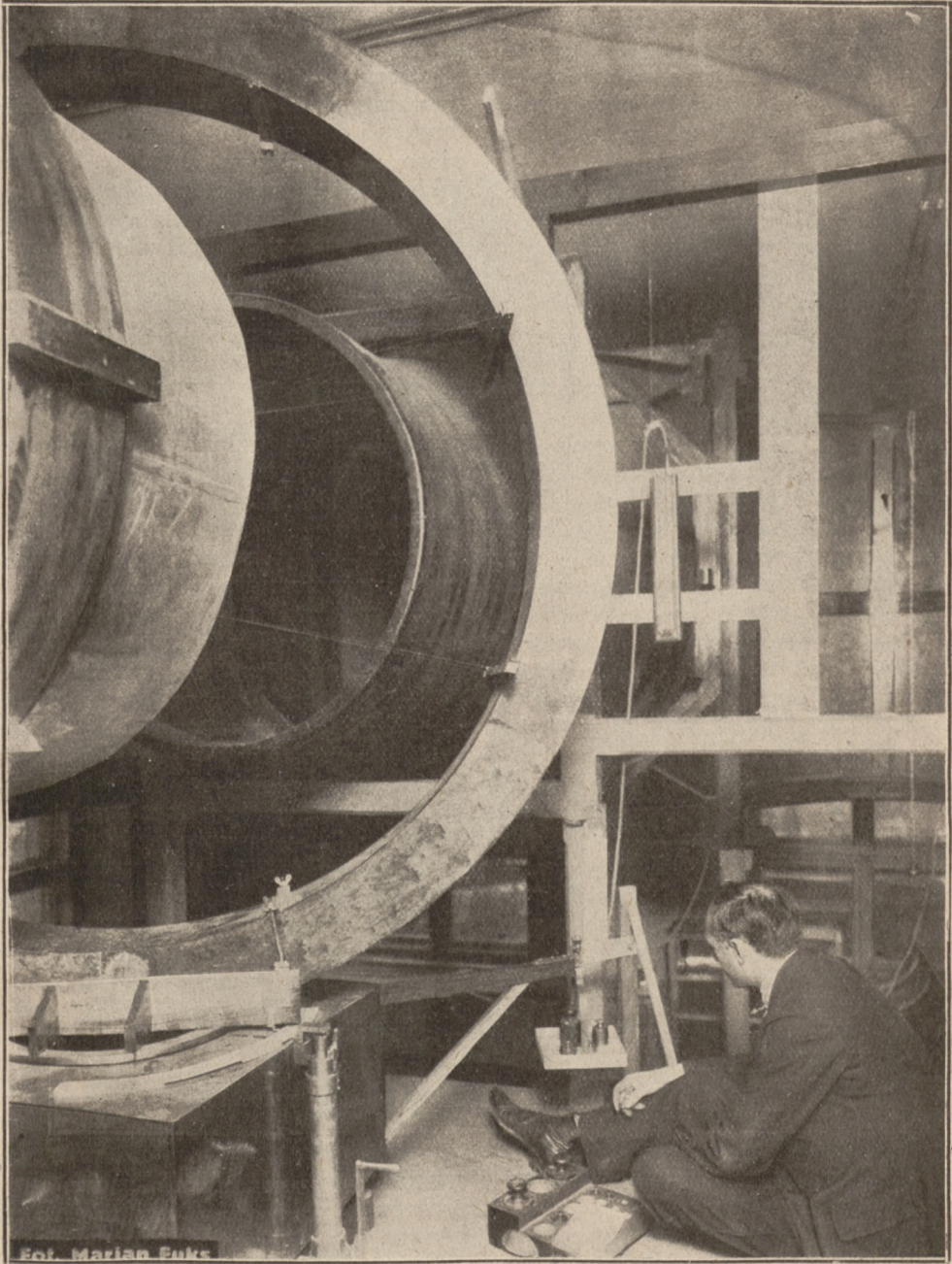
Jakieś tajemnicze przyrządy — reorty wiedzy nowoczesnej, która ma nieraz tyle fantastycznego wyrazu.

Zapalają się jakieś światła.

Po stromych i wąskich schodkach pniemy się na wzniesienie, na którym wzniesiono olbrzymi, jak na moją wrażliwość, tunel drewniany, który lśni się od jaskrawych promieni światła.

Profesor Witoszyński włącza prąd elektryczny.

U przeciwnego wylotu rury zaczyna się obracać żelazny wentylator i oto wiatr poczyna huczeć przeciągle i dziwnie niepokojąco. Ponieważ się tego wszystkiego zupełnie nie spodziewałem, ten wicher naukowy sprawia na mnie dziwne wrażenie. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby z tuby zaczęły wylatywać jakieś po-



Fot. Marian Euk

*Tymczasowe laboratorium aerodynamiczne w F lit. Warsz.
Waga pierścieniowa*

stacie skrzydlatych demonów. A przecież to nic więcej, jak tylko zwycajne naukowe doświadczenie.

— Ma pan przed sobą — mówi prof. Witoszyński — zasadniczą czynność pracowni aerodynamicznej. Pracownia aerodynamiczna to nic więcej, jak wytwórnia wiatrów.

W miarę wykładu prof. Witoszyńskiego zaczynam sprawę coraz bardziej pojmovać. Starajmy się ją przedstawić w jaknajbardziej zwartym skrócie.

Na początku bieżącego stulecia, kiedy technika lotnicza przyrządów cięższych od powietrza stawiła pierwsze kroki, napotkała ona cały szereg trudności, polegających na niedostatecznej znajomości zjawisk, zachodzących podczas ruchu ciał w powietrzu. Konstruktor nie wiedział, jaki ciężar unieść może skrzydło danego kształtu, poruszające się w powietrzu z określoną szybkością, jaki to skrzydło napotka opór w powietrzu, a więc jakiej mocy silnik potrzebny jest do przewyciężenia tego oporu i t. d. To też nic dziwnego, że w tym pierwszym okresie lotnictwa wzniesienie się na wysokość kilkuset metrów lub orzelot kilku kilometrów przedstawiały znaczne trudności. W związku z temi potrzebami techniki lotniczej, podjęty został cały szereg badań o mniejszym lub większym podkładzie naukowym, które to badania miały na celu zdobycie potrzebnych danych. Wszystkie te badania narazie doprowadziły do jednego wyniku. Stwierdziły one zgodnie, że zdobycie potrzebnych danych wtedy dopiero stanie się możliwem, kiedy zdobędziemy się na odtworzenie w laboratorium warunków, istniejących podczas lotu.

Zachodzi pytanie, jakim sposobem odtworzyć można warunki lotu w laboratorium, to jest w ograniczonej przestrzeni, kiedy treść lotu polega na ciągłej zmianie miejsca. Twórcza myśl ludzka znalazła w tym wypadku proste rozwiązanie. Zamiast poru-

zać w przestrzeni przedmiot czy model badany, uczynimy go nieruchomym, natomiast wprawmy w ruch otaczające powietrze w kierunku odwrotnym do tego, w jakim się miał poruszać model. Stosunek wzajemny modelu i otaczającego ośrodka w dopiero co opisanym układzie będzie taki sam, jaki zachodzi podczas lotu. Trzeba przytem pamiętać, że to sztuczne poruszanie otaczającego modelu powietrza odbywać się musi z jednakową prędkością i w jednakowym kierunku w całej swojej masie.

Urządzenie do wytwarzania takiego sztucznego wiatru nazywamy tunelem aerodynamicznym. Tunel jest najbardziej zasadniczym rekwizytem każdej pracowni aerodynamicznej. W tunelu takim bowiem zawieszają się model samolotu i przy pomocy odpowiednich przyrządów pomiarowych można zmierzyć siły, które wywiera prąd wiatru na bryłę w nim zanurzoną, a więc np. siłę nośną i opór czołowy skrzydeł samolotu i t. d. W każdym tunelu aerodynamicznym musi być zastosowany wentylator, dziś najczęściej w postaci dwu lub wieloramiennego śmigła, które służy do podtrzymywania jednostajnego ruchu strumienia powietrza. W różnych krajach istnieją tunele różnych systemów, każdy z nich jednak jest urządzony w taki sposób, iż moc silnika potrzebnego do poruszania wentylatora stanowi nieznaczną część energii, którą w jednej sekundzie przenosi strumień powietrza w miejscu przeznaczonem do pomiarów. Dodać jeszcze należy, że obliczenia dokonywać trzeba z najzupełniejszą precyzją. Najdrobniejszy bowiem błąd rozrasta się do wielkich rozmiarów przy przemianie obliczeń na wartości istotne.

Oto prosty schemat pracowni aerodynamicznej.

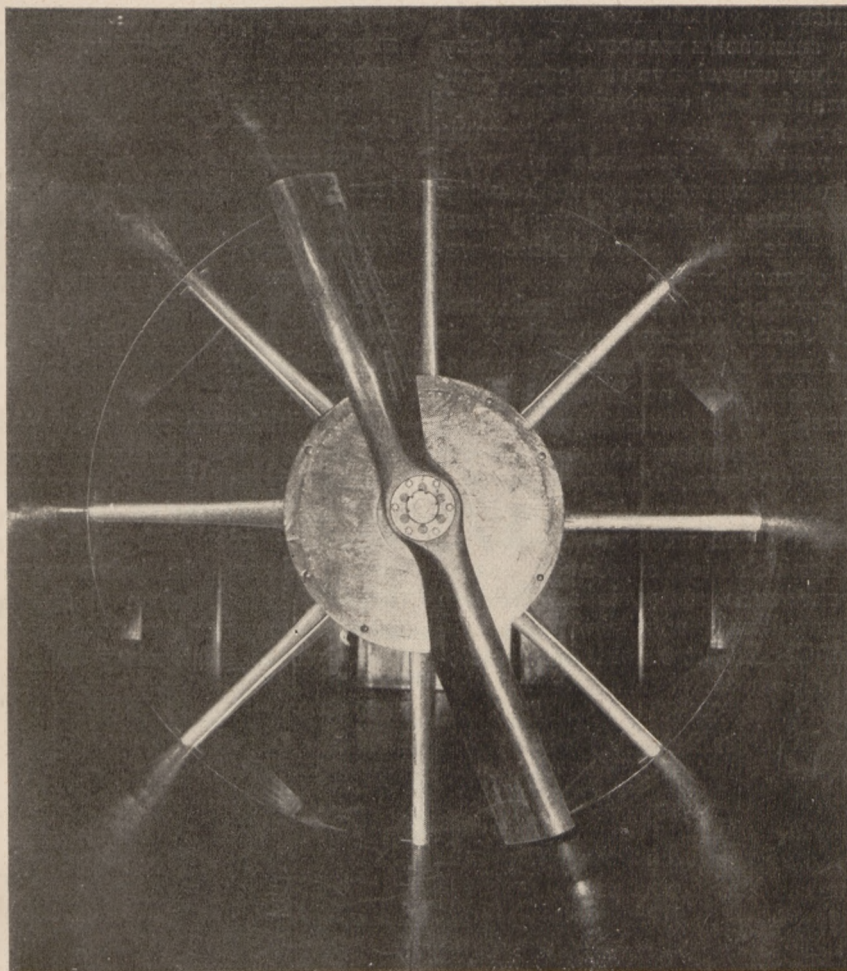
Sprawa jasna i zrozumiała!

A jednak, kiedy w tunelu wiatr huczy i wstrząsa małym modelem samolotu, nie można się oprzeć wraże-

niu jakiejs fantastyczności, wrażeniu wizji rzeczywistości zaklętej siłą twórczą ludzkiego umysłu w ten kształt miniaturowy. Oto przyrząd czarodziejski, w którym szaleją burze, orkany i cyklony! Oto latarnia

wistość, gdzie panuje żelazna logika i ścisłe cyfry.

W jednym ze swoich artykułów, których zadaniem było spopularyzowanie instytutu aerodynamicznego pisze prof. Witoszyński co następuje:



*Tymczasowe laboratorium aerodynamiczne w Polit. Warsz.
Wentylator wewnątrz tunelu*

magiczna, w której człowiek zuchwały, nowoczesny rycerz i bohater może oglądać swoje losy przyszłe i bezkarnie sił swoich próbować.

Jakże często wyobraźnia pierwotna przekształca się dzisiaj w rzeczy-

„Jakież są wyniki pracy instytutów aerodynamicznych w różnych krajach Europy? Wszędzie bez wyjątku powodują one szybki rozwój i ciągle doskonalenie techniki lotniczej. Którykolwiek z krajów zachodnich może

służyć za przykład. Typowym przykładem są Włochy, gdzie stosunkowo późno założono pracownie aerodynamiczne w Rzymie i Turynie. Wpływ tych pracowni wywołał tak znaczne udoskonalenie lotnictwa, iż dziś włoska technika lotnicza nie ustępuje technice innych krajów zachodnich.

Dla ścisłości zaznaczyć tu należy, że wpływ omawianych pracowni naukowych ułatwiał wszędzie działalność przemysłowi, lecz w powstawaniu przemysłu żadnej roli nie odgrywał. Aby mógł powstać przemysł lotniczy, muszą istnieć, jak dla każdej innej gałęzi przemysłu, odpowiednie warunki ekonomiczne.

Poczynając od lat kilku, rola pracowni aerodynamicznych zdaje się ulegać radykalnej zmianie. Elementarne podstawy naukowe techniki lotniczej zostały już założone i stały się drogą literatury technicznej dobytkiem ogólnym. Na pierwszy plan wybija się w pracowniach aerodynamicznych praca naukowa, oparta na rozważaniach teoretycznych, sama zaś pracownia staje się narzędziem do sprawdzania wyników tych rozważań. Chodzi już o dokładne ilości-

we badanie zjawisk mechanicznych, mających związek z lotnictwem, chodzi o wskazanie drogi do dalszych ulepszeń.

Cel, do którego dziś dąży technika lotnicza, można krótko określić jak następuje. Musimy powiększyć siłę nośną naszych samolotów, powiększyć ich szybkość, zmniejszyć natomiast moc ich silników. To jest cel ostateczny. Cel jest jasny, lecz drogi do jego osiągnięcia są trudne, bo każdy badacz musi ich szukać dla siebie.

We wszystkich krajach rządy i społeczeństwa udzielają szerokiego poparcia takim badaniom. I my musimy iść tą drogą, jeżeli chcemy mieć własne, niezależne lotnictwo, jeżeli nie chcemy być skazani na stałe naśladowanie wzorów obcych, nie zawsze dobrze dostosowanych do warunków miejscowych".

W najbliższym czasie będziemy posiadać instytut aerodynamiczny, nieustępujący podobnym pracowniom na Zachodzie. Materjału do pracy dlań napewno nie zabraknie. Istnieje raczej obawa, że jedno nawet tak wielkie laboratorium doświadczalne wszystkim potrzebom nie podoła.

Wówczas postawimy drugi!



PAŃSTWOWY BANK ROLNY

Adres tetegraficzny „PEBROL“.

Kapitał zakładowy 25.000.000 złotych

Centrala w Warszawie, ul. Traugutta Nr. 11

Nr. Nr. rachunków w P. K. O.:

„Państwowy Bank Rolny“ 30,015

„Wydział Agrarny Państwowego Banku Rolnego“ 30,396

Wydział Likwidacyjny b. ros. Banków Szlacheckiego i Włóściańskiego 30,380

Nr. Nr. telef.: 158-23, 58-30, 297-35

ODDZIAŁY:

POZNAŃ — Kantaka 10, tel. 25-37, 25-38

LWÓW — Halicka 21, tel. 48-80

WILNO — W. Pohulanka 24, tel. 173, 199.

PAŃSTWOWY BANK ROLNY

Udziela długoterminowych pożyczek amortyzacyjnych w listach zastawnych na kupno gruntu.

Kupuje majątki ziemskie za gotówkę i za listy zastawne.

Prowadzi parcelację na rachunek własny i komisowo.

Udziela pożyczek w gotówce drobnej i średniej własności za pośrednictwem spółdzielni i Kas Gminnych.

Prowadzi akcję pomocy kredytowej dla osadników wojskowych i cywilnych oraz na meljoracje rolne, akcję państwowej pomocy kredytowej przy scalaniu gruntów oraz administrację funduszami na odbudowę wsi.

Przyjmuje ZLECENIA GIEŁDOWE na kupno i sprzedaż papierów procentowych, akcji oraz walut zagranicznych.

Przyjmuje WKŁADY,

1) za oprocentowaniem na rachunki czekowe, płatne natychmiast (a vista) i za wypowiedzeniem.

2) na książeczki oszczędnościowe — przy minimalnym wkładzie 10 zł.

Od wszystkich powyższych wkładów Państwowy Bank Rolny sam opłaca podatek od rent i kapitałów.

Załatwia wszelkie operacje bankowe.

Sprzedaje nawozy sztuczne (średniej i drobnej własności) po cenach fabrycznych na dogodnych warunkach kredytowych, za pośrednictwem Spółdzielni kredytowych (Kasy Spółdzielcze, Banki Ludowe, Kasy Oszczędności, Kasy Gminne i t. p.).

Złote 8% listy zastawne Państwowego Banku Rolnego są przyjmowane przez Skarb Państwa na podatek majątkowy, po kursie 80 za 100 od każdego płatnika tego podatku, a więc zarówno od rolników, jak przemysłowców, kupców, przedstawicieli zawodów wyzwolonych i wogóle osób fizycznych i prawnych.

Nie trzymajcie pieniędzy w domu

Lokujcie oszczędności

w

POCZTOWEJ KASIE OSZCZĘDNOŚCI

Wszystkie Urzędy Pocztowe w Państwie przyjmują wkłady
i wydają książeczki oszczędnościowe

Pocztowej Kasy Oszczędności

Wkłady oprocentowane w stosunku 9% (dziewięć złotych od stu rocznie). Właściciel książeczki może w każdym Urzędzie Pocztowym podnosić bezzwłocznie sumy do 50₂ złotych dziennie. Wyższe sumy podnosić można w Urzędach Pocztowych, po przesłaniu do P. K. O. w Warszawie, Jasna 9, wypowiedzenia ze wskazaniem Urzędu Pocztowego, który wypłatę ma uskutecznić. Kasy P. K. O. w Warszawie wypłacają bezzwłocznie sumy bez ograniczenia ich wysokości. Właściciel książeczki żadnych podatków z tytułu posiadanych oszczędności lub pobieranych procentów nie płaci. Korespondencja P. K. O. wolna jest od opłat pocztowych.

Najniższy wkład na książeczkę wynosi 1 złoty.

CZYTAJCIE WSZYSCY!

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE!

Wydawnictwa Ligi Obrony Powietrznej Państwa

płk. Szt. Gen. S. ABZÓŁTOWSKI pilot

LOTNICTWO W WOJNIE WSPÓŁCZESNEJ

Cena 4 zł.

ppłk. J. GRZĘDZIŃSKI inż. pilot

O LOTNICTWIE W OGÓLNOŚCI

Cena 60 gr.

T. GARCZYŃSKI

O WŁADZĘ NAD BŁĘKITAMI

Historja lotnictwa od czasów legendarnych do dzisiejszych

Cena 6 zł.

S. LEWICKI

WOBEC GROZY WOJNY POWIETRZNEJ

Cena 15 gr.

W. DĄBROWSKI

KATALOG PRZEZROCZY

z dokładnemi objaśnieniami do każdego przezrocza
zaopatrzony w katalog działowy i alfabetyczny

Cena 2 zł.

CO O LOTNICTWIE KAŻDY WIEDZIEĆ POWINIEN?

Zbiór popularnych wykładów o lotnictwie

Cena 1 zł. 80 gr.

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE!

CZYTAJCIE WSZYSCY!

SKŁAD GŁÓWNY

Warszawa — Zamek, L. O. P. P., tel. 104-26

S P I S R Z E C Z Y

Calendarium	5
Pierwszy polski poemat lotniczy	17
Idee lotnicze w literaturze powieściowej, <i>S. Sierosławski</i>	27
Let w zaświaty, <i>J. Sosnkowski</i>	38
Mądrość Dedala, <i>prof. T. Zieliński</i>	48
Lotnictwo balonowe w dawnej Polsce, <i>Al. Kraushar</i>	52
Jak zostałem pilotem, <i>mjr-pilot M. D. Szczudłowski</i>	64
Z zagadnień naszego lotnictwa:	
Jakie zadanie ma do spełnienia Liga Obrony Pow. Państwa <i>min. St. Osiecki</i>	67
Nie rozpraszaajmy sił, <i>inż. Wacław Januszewski</i>	69
Kilka uwag o lotnictwie w Polsce, <i>W. Ostrowski</i>	70
Odpowiedzialność narodu, <i>J. Szejczer</i>	72
Lotnictwo Sanitarne, <i>dr. K. Vacqueret</i>	73
L. O. O. P., <i>Tad. Garczyński</i>	75
Sport balonowy <i>F. Bołsunowski</i>	85
Wytwórnia wiatrów, <i>Estewi</i>	94
Ogłoszenia	



D Y R E K C J A
PAŃSTWOWEGO MONOPOLU
SPIRYTUSOWEGO

K R A K O W S K I E - P R Z E D M I E Ś C I E 50.

Sekretariat Dyrekcji	— Krakowskie-Przedmieście 50,	tel. 145-05
Wydział I.	— Krakowskie-Przedmieście 50,	„ 41-74
„ II.	— ul. Senatorska 19.	„ 304-97
„ III.	— ul. Królewska 23.	„ 107-27
„ IV.	— ul. Senatorska 19.	„ 304-98
„ V.	— ul. Senatorska 19.	„ 307-19
„ VI.	— ul. Królewska 23.	„ 107-49
„ VII.	— Krakowskie-Przedmieście 50,	„ 58-09
Techniczno-Gospodarczy Komitet	— ul. Leszno 7.	„ 513-63
Wytwórnia wódek	— Praga, ul. Żąbkowska.	„ 221-93

D Y R E K T O R

PAŃSTWOWEGO MONOPOLU SPIRYTUSOWEGO
PRZYJMUJE W PONIEDZIAŁKI, ŚRODY I PIĄTKI
OD GODZ. 1-ej DO 2-ej PP.

GODZINY PRZYJĘĆ POSZCZEGÓLNYCH WYDZIA-
ŁÓW I SEKRETARJATU DYREKCJI:
CODZIENNIE MIĘDZY 1-szą a 2-gą.

ZAKŁADY GRAFICZNE

INTROLIGATORNIA

P. F.

DRUKARNIA
ROLNICZA

W A R S Z A W A

Z Ł O T A 24

TELEFON 9-68